Nr. 197. Lwów — Wtorek dnia 29 Sierpnia. Rok 1899.

Wychodzi w dni powszednie, o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 1 złr. 10 ct.
w Niemczech . . . . 1 „ 50 „
w innych Państwach . 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 1 zł.
Numer kosztuje we Lwowie . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 ct.
Numera z poprzednich dni po 10 ct.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 50 ct. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: Wt. | Ścięcie św. Jana | Myrona M.
Jutro: Śr. | św. Róży z Limy | Flora i Ławra

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 5 m. 21
Zachód „ „ 6 m. 39

Długość dnia godzin 13 m. 18
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 28 sierpnia.

Heretyk polityczny, zdrajca demokratyzmu Stanów Zjednoczonych, wrzekomy potomek królów, a prawdziwy miliarder William Waldorf-Astor zginął 13 b. m. na stosie w Nowym Yorku, na placu przed własnym pałacem w dzielnicy arystokratycznej Tenderloin. Wprawdzie sam zbrodniarz zbiegł do Anglii, więc akt sprawiedliwości demokratycznej mógł być wykonany tylko na jego lalce naturalnej wielkości i bardzo doń podobnej, niemniej jednak od tej chwili zbrodniarz, zgodnie z obyczajem ludu północno-amerykańskiego, już nie istnieje na świecie i jeżeli kiedykolwiek wpadnie w ręce Yankesów, może być przez nich zlynchowany. Odstraszający to przykład dla wszystkich oligarchów północno-amerykańskich, dla „dynastów“, których tam w ostatnich czasach mnóstwo się pojawiło, co już zaczęło zagrażać republikańskiemu demokratyzmowi. O równość obywatelską tak bardzo troszczy się konstytucya Stanów, że wedle jej postanowień tylko jednemu prezydentowi republiki podczas jego urzędowania przysługuje oficyalny tytuł „Mister“, to znaczy „pan“, wszyscy zaś inni muszą się zadawalać tylko imieniem i nazwiskiem. Pokazuje się jednak, że żadne ustawy nie mogą wytępić skłonności ludzkiej do wyróżniania się z pośród bliźnich herbami i tytułami. Skoro nie położono tamy gromadzeniu bogactw, to już przez to otwarto próżności szeroką bramę. Miliarderzy z początku otaczali się bajecznym przepychem, wyśmiewanym tak często przez Europejczyków, potem uważali za punkt honoru, za wymarzone szczęście, powydawać swe córki za europejskich arystokratów, którzy też poodświeżali swe herby za miliony amerykańskie, nagromadzone handlem; w końcu, kiedy już spokrewnili się po kądzieli z potomkami średniowiecznych rycerzy, zapragnęli sami być arystokratami, ale już odrazu największymi. Bujna przedsiębiorczość amerykańska i tu znalazła swój wyraz: królowie worka wyszukali sobie królewskich przodków, za pieniądze znaleźli heraldyków, którzy ułożyli im genealogiczne drzewa, wymyślili własne ordery, a w końcu potworzyli sobie dwory, gwardye i usłużnych klientów, którzy nietylko w towarzyskich stosunkach, ale i w prasie poczęli im oddawać hołdy, jak książętom krwi królewskiej. Ta zabawa przestała być tylko nasycaniem próżności, kiedy niektóre rodziny poczęły się zamykać w jakichś dynastycznych granicach, których nikt nie mógł przekroczyć. Tak naprzykład przed trzema laty Astorowie i ich krewni uznali, że są potomkami dwóch tysięcy baronów, którzy w roku 1215-ym w boju pod Runnymede wywalczyli od angielskiego króla Jana „wielką kartę“ (Magna Charta), tworzącą początek konstytucyi angielskiej. Na tej podstawie ufundowali oni order Runnymede, który nosić może tylko członek tej rodziny od przyjścia na świat aż do zgonu. Do orderu należy: amarantowa wstęga, wkładana przez ramię i zapięta na biodrze jakimś dziwacznym herbem z gryfami, lwami i orłami, oraz złoty łańcuch, którego ogniwa składają się z herbów rodzin książęcych. Rodzina Vanderbiltów nie dała się wyprzedzić Astorom, więc dowiodła niezbicie, że w prostej linii pochodzi od dwóch królów: po mieczu od angielskiego Alfreda Wielkiego, a po kądzieli od francuskiego Ludwika I — i również ufundowała order domowy „wielkiej korony“, z insygniami, do których należą: siedmiobarwna wstęga, kołnierz ze złotej koronki i korona wisząca na szyi na brylantowym łańcuchu. Wyprzedzając Astorów, zrobili Vanderbiltowie jeszcze to, że się z pośród nich dożywotnio wybiera króla i królowę. Tak tych elektorów powinni nazywać dworzanie, klienci i wszyscy, którzy z nimi chcą utrzymywać stosunki. Ale kiedy Vanderbiltowie na razie poprzestali na tem i bawili się tą maskaradą we własnem towarzystwie, młody William Astor zachorował na cezaryzm, począł myśleć o zbudowaniu sobie tronu cesarskiego w Stanach Zjednoczonych, a to już nie mieściło się w granicach zabawy. Mniej więcej od roku zaczęły z nimi walczyć dzienniki, wskazując całkiem poważnie na niebezpieczne dla republiki skutki „legendy królewskiej“ Astorów, gdy się ona utrwali, zmieni w przekonaniach ogółu w prawdę, a poparta milionami, stanie się czynnikiem politycznym. Heraldycy Astora dowiedli, że on pochodzi od francuskich hrabiów d'Astorga, których protoplasta był jednym z licznych synów Karola Wielkiego i którzy wojowali z Maurami, brali udział w wyprawach krzyżowych, a żenili się tylko z księżniczkami krwi królewskiej. Wprawdzie kilka nowoyorskich dzienników zarządziło wspólne dochodzenia, które wykazały, że założycielem krezusowskiej dynastyi Astorów był chłop badeński, który w r. 1763-cim, jako czeladnik rzeźnicki we wsi Walldorf zgnał kogoś nożem, poczem zbiegł do Ameryki i tam sprzedawał mięso w sklepiku pod szyldem Johann Jacob Astor, ale marszałek dworu jego mości Williama I, zbankrutowany lord Hamilton w założonem i darmo rozdawanem piśmie *Pall Mall Magazine* uczenie udowodnił, że Astorowie są praprawnukami Karola Wielkiego. Siostra tego lorda, księżna Buccleuch, przyjaciółka królowej Wiktoryi, wprowadziła Williama Astora na dwór angielski, potrafiła nawet ulokować go w gościnnych pokojach zamku Windsorskiego, a kiedy on nabył w Anglii dobra, zaczął u niego bywać na polowaniach ks. Walii. To wszystko do reszty zawróciło głowę Astorowi, zaczął tedy wyraźnie marzyć o tronie w Stanach Zjednoczonych, a skończył na tem, że go zaocznie sądem Lyncha spalono na stosie dla odstraszenia wszystkich innych miliarderów od monarchicznych zachcianek. Wolno im być królami, ale tylko dolarów.

Cała ta historya dowodzi, że jak we wszystkich republikach, ile ich było, tak i w amerykańskiej, pomimo nadzwyczajnej troskliwości o utrwalenie form demokratycznych, zaczynają ze wzrostem bogactwa i z rozwojem interesów państwowych budzić się pożądania monarchiczne.

Przesilenie rządowe w Prusach odwołano; karabin królewski nie wystrzelił, bo się spaliło na panewce. Sejmu nie rozwiązano, lecz tylko zamknięto jego sesyę, wszyscy ministrowie poczuli się znowu zdrowymi, nie są znużeni i zatrzymują swe teki. Tłómaczy się ta gwałtowna zmiana nader oryginalnie; oto, biurokracya prowincyonalna stoi po stronie „związku rolniczego“ i hakatystów, a więc sprzyja tym junkrom, którzy głównie się przyczynili do obalenia projektu budowy kanału między Renem a Łabą. Ta zatem biurokracya nie wywrze nacisku na wyborców w kierunku nakazanym z Berlina i nowy sejm nie będzie powolniejszym rządowi od teraźniejszego. A skoro dwór nie może odepchnąć „Bundu“ agrarnego, to i ministrowie, posiadający zaufanie junkrów, muszą pozostać. Tu po raz pierwszy tak dosadnie się pokazało, że cesarz może sobie mówić ile razy zechce „sic volo sic jubeo, ale rząd poboczny jest prawdziwą potęgą. Przed przybyciem do Berlina, gdzie miała nastąpić rządowa katastrofa, cesarz Wilhelm w telegramie do swego dawnego nauczyciela Hünzpetera zapowiedział, jaka ona będzie. „Jak przodek mój, wielki kurfürst — pisał cesarz — tak i ja nigdy nie zejdę z drogi, którą uznałem za dobrą; wytrwale, na nic nie zważając, pójdę do swego celu i wszystkie przeszkody zdruzgoczę“. Była to więc jakby proklamacya wojenna, którą wnet po przybyciu cesarza do Pałacu Nowego pod Berlinem powtórzono oficyalnie, bo w *Norddeutsche Allg. Ztg.* pojawił się taki zwięzły komunikat: „Decydujące czynniki obstają bezwarunkowo przy dobrze obmyślonym i uznanym za niezbędny projekcie kanału, a dla przeprowadzenia jego zużytkują wszystkie środki, jakie posiadają, przyczem wszelkie względy będą musiały ustąpić przed tym jednym względem, mieszczącym w sobie najważniejsze w danym razie interesa państwowe“. Organ „Bundu“ agrarnego *Kreuz. Ztg.*, powtórzywszy ten komunikat, odezwała się spokojnie: „Co znaczy ta groźba? Czy to, że decydujące czynniki chcą gruntownie zmienić swój stosunek do czynników, które stworzyły państwo pruskie? Wśród wielu prób już dokonanych i będących dopiero w projekcie, może znajduje się zamiar rządzenia przy pomocy przemysłowych liberałów i postępowców? Jeżeli tak, to uważamy za nasz obowiązek oświadczyć, że taka próba niewątpliwie wyrządzi przelotną szkodę junkrom, ale trwale i ciężko da się we znaki decydującym czynnikom i, niestety, krajowi“. W tym samym duchu odpowiedziały wszystkie dzienniki „Bundu“ agrarnego. Tu dyscyplina stronnicza okazała się znakomitą. Nawet te pisma hakatystyczne, które opierają swój byt o rządowe ogłoszenia, wystąpiły ostro przeciw groźbie, ogłoszonej w *Nordd. Allg. Ztg.* Przeciwnie, prasa liberalna i postępowa nie okazała tej karności, chociaż projekt budowy kanału spełnia wyłącznie życzenia tych stronnictw. Pisma liberalne nie lubią p. Miquela za to, że z liberała zrobił się junkrem; pisma postępowe zawsze znieść go nie mogły. Więc wszystkie te pisma rzuciły się na niego, dowodząc, że swą polityką doprowadził do zatargu korony ze znacznym odłamem społeczeństwa.

Miecz, na którym wyryte słowa „tak chcę, tak rozkazuję“, trzeba było włożyć do pochwy. Ale czy na zawsze? Organ nadreńskich katolików, kolońska *Volks. Ztg.*, która od członków centrum otrzymuje z Berlina doniesienia niezawodne, ogłasza telegram, w którym powiedziano, że „projekt kanałowy wróci do sejmu za kilka miesięcy, a zamiar rozwiązania izby musiał być zaniechany po długiej naradzie pod przewodnictwem cesarza, a to głównie dlatego, że pierwej uznano za konieczne, w imię najwyższych względów, zmienić stosunek stronnictw, złączonych w „Bundzie“ agrarnym, do rządu, co znowu wymaga stanowczego wystąpienia przeciw brakowi dyscypliny wśród politycznych urzędników, którzy w sposób przerażający zeszli na manowce politykowania na własną rękę. Przeciw niekarności (Zuchtlosigkeit) biurokratów użyte będą wszystkie środki prawne i najbardziej skompromitowani panowie przymusowo pójdą na spoczynek. Ci biurokraci, którzy służyli Bundowi agrarnemu, najlepiej zrobią, jeżeli dobrowolnie uprzedzą to, co ich czeka.“

Oto więc dlatego cesarz musiał się wyrzec wszelkich zmian, że rząd poboczny okazał się silniejszym od rządu królewskiego. Aby łatwiej zgnębić Polaków przy pomocy społeczeństwa, rząd dopuścił do powstania hakatystów, którzy na gruncie ogólno-pruskim tworzą Bund agrarny. Tym hakatystom pozwolił wpływać na administracyę polityczną, dał im moc wynoszenia lub usuwania urzędników. A teraz sam widzi, jaka z tego fronda urosła, jakie niebezpieczeństwo dla państwowej, nawet dla królewskiej władzy. Myśl poczęta z nienawiści, nieludzka, drapieżna, nigdy zdrowych owoców nie rodzi.

Proces Dreyfusa.

Po skończonym wykładzie Bertillona, poczęto stawiać pytania do tego znawcy. Jeden z członków trybunału zapytał go, jak on sobie może wytłumaczyć podobieństwo pisma na bordereau do pisma Esterhazy'ego? Bertillon odrzekł, że jest możebnem, iż Esterhazy później przez lata całe starał się naśladować bordereau, mógł przejąć się niektóremi właściwościami jego pisma. Na to oświadczenie Labori zasypał Bertillona pytaniami tak, że Bertillon wreszcie przyznał, iż jest rzeczą możliwą, że Esterhazy jest zdrajcą, lecz prezydent Jouaust usunął tak postawioną kwestyę z porządku dziennego. Labori stawiał dalej inne jeszcze pytania do Bertillona, który odpowiadając na nie oświadczył, że w bordereau są pewne podobieństwa a nawet identyczne właściwości z pismem Esterhazy'ego, że jednak takich punktów stycznych jest więcej pomiędzy bordereau, a pismem Dreyfusa. Dreyfus zabrawszy wreszcie głos do oświadczenia się na zeznania Bertillona, stanowczo zaprzeczył, jakoby był autorem bordereau.

Świadek pułk. Valeriot, wezwany przez komisarza rządowego Carriere'a celem wypowiedzenia zdania o orzeczeniu Bertillona, oświadczył, że zgadza się z niem zupełnie i jest zdania, iż bordereau z niczyjej ręki nie pochodzi, jak tylko z ręki Dreyfusa (poruszenie w sali). Dreyfus: Ja nie mam nic do oświadczenia na zeznania pułkownika Valeriota. Powtórzył on to samo co Bertillon, muszę więc raz jeszcze tutaj powiedzieć, że wszystkie hipotezy Bertillona są fałszywe.

Niespodziewanie z kolei przyszło do scen tak żywych, a nawet gwałtownych, że onegdajsze posiedzenie procesu można nazwać bardzo doniosłem i znaczącem. Stało się to przy przesłuchaniu świadka kapitana Freystättera, którego zeznania okazały się może najbardziej sensacyjnemi z dotychczasowych, bardziej nawet niż interesujące, ze względu na osoby świadków początkowe rewelacye b. prezydenta republiki Casimir-Periera i b. ministra wojny Merciera. Kapitan Freystätter był członkiem trybunału wojennego, który w r. 1894 skazał Dreyfusa. Zapytany, dlaczego głosował za jego skazaniem, odpowiedział: „Moje przekonanie opierało się na orzeczeniach rzeczoznawców, na zeznaniach pułkowników du Paty de Clama i Henry'ego, a po części umocnionem zostało przez tajne dokumenty, jakich nam dostarczono już w sali radnej podczas dyskusyi nad wyrokiem“.

Labori: Dokumenta czy dokument?

Freystätter: To było całe tajne „dossier“, w którego skład wchodziło wiele dokumentów, między innymi list ze słowami: *Cette canaille de D.* i tekst depeszy Panizzardiego, który później uznano za nieautentyczny.

Na to zeznanie, stojące w rażącej sprzeczności z tem, co w powyższej sprawie powiedzieli prezydent trybunału z r. 1894 Maurel i jenerał Mercier, którzy stanowczo wspominali o jednym tylko dokumencie, w sali powstało nieopisane zdumienie i poruszenie, hałas niemal. Wśród tego pułkownik Maurel i jenerał Mercier zrywają się i domagają się głosu.

Maurel: W pierwszem mojem zeznaniu powiedziałem o jednym tylko dokumencie dlatego, bom nie chciał zdradzać tajemnicy obrad nad wyrokiem, a powtóre dlatego, że się obawiałem, iż skoro wspomnę o „dokumentach“, nie o „dokumencie“, obrońca Labori zaraz swemi pytaniami wyciągnie ze mnie więcej, niżbym chciał powiedzieć. Miałem zresztą prawo mówić tylko o jednym dokumencie (śmiech w sali). Tak — miałem prawo, bo wyraziłem się, że ja „czytałem tylko jeden dokument“ i tak było w istocie, gdyż czując się podówczas znużonym, oddałem resztę dokumentów do odczytania sekretarzowi (wielkie poruszenie i głośne śmiechy wśród audytoryum).

Prez. Jouaust wzywa publiczność do spokojnego zachowania się. Maurel stoi obok Freystättera, niesłychanie wzburzony i drżący na całem ciele.

Freystätter (do Maurela). Ja sam widziałem wszystkie dokumenty, które wymieniłem. Widziałem też dokładnie, że pan, panie Maurel, jako prezydent brałeś każdy z osobna z nich do ręki i podając go sędziom, komentowałeś je szczegółowo. (Ogromne poruszenie w audytoryum.)

Maurel (z wielką gwałtownością). Stanowczo protestuję przeciw temu, jakobym komentował tajne dokumenty. A zresztą, gdybym ja był członkiem-wotantem trybunału wojennego i widział, że prezydent popełnił nieprawidłowość, to zaraz na miejscu zaprotestowałbym przeciw temu, lecz nie nosiłbym się z tem przez 5 lat całych!...

Freystätter (spokojnie). Wszakże ja 8 kwietnia b. r. napisałem list do pana, panie pułkowniku Maurel, w którym donosiłem, co zamierzam uczynić, albowiem dopiero po śmierci Henry'ego dowiedziałem się, żeśmy popełnili nieprawidłowość i że ustawa zabrania komunikowania trybunałowi tajnych dokumentów bez wiadomości oskarżonego, bez wiadomości obrońcy.

Maurel przyznaje, że istotnie taki list od Freystättera otrzymał i że na ten list nie odpowiedział. Przyznał również, że zaraz po śmierci Henry'ego Freystätter napisał do niego list, w którym wyrażał powątpiewania w sprawiedliwość wydanego na Dreyfusa wyroku, lecz on zostawił i ten list bez odpowiedzi.

Labori. Wobec tego muszę zażądać od trybunału, aby wciągnięto do protokołu i z naciskiem zaznaczono, iż pomiędzy tajnymi aktami, doręczanymi sędziom Dreyfusa, była depesza Panizzardi'ego, czemu tutaj nikt nie zaprzeczył. Równocześnie domagam się, aby prezydent zapytał jenerała Merciera, dlaczego złożył zeznania, które przez innych świadków zostały zdementowane.

Mercier. Ja stanowczo oświadczam, że podówczas w zbiorze tajnych aktów depeszy Panizzardi'ego nie było.

Freystätter. A ja bezwarunkowo obstaję przy swojem zeznaniu, że była.

Powstaje stąd gwałtowna kontrowersya zdań pomiędzy Freystätterem a Mercierem, grożąca lada chwila wybuchem większej awantury.

Labori. Cóż ostatecznie? Czy była depesza, czy nie? Jenerał Mercier powinien to wiedzieć dokładnie, sam bowiem złożył tajne dokumenta.

Mercier. To nie ja ten zbiór zestawiłem, tylko pułkownik du Paty de Clam.

Labori. Wobec tego z całą stanowczością nalegać na to muszę, aby przez oficyalnie wydelegowanych lekarzy zbadano stan zdrowia pułkownika du Paty de Clama i o ile możności sprowadzono go tu do Rennes.

Mercier. Ściśle powiedziawszy, to nie pułkownik du Paty de Clam zestawił tajne akta. Du Paty tylko zawiózł je pułkownikowi Maurelowi.

Labori. A więc kto je zestawiał?

Mercier. Ś. p. pułkownik Sandher.

Labori. Doprawdy, to nie do pojęcia!

---

84)

SONIA KOWALEWSKA

przez

KAROLINĘ LEFFLER

Przekład Anastazyi Świderskiej.

(Ciąg dalszy).

Sonia biegła szybko bezludnemi o tej godzinie ulicami, zakryta gęstym welonem, z gorączkowo bijącem sercem, podniecona odważnym swoim czynem, na wszystko w tej chwili gotowa; czuła, że jest niezwykłą bohaterką. Ona, ta mała Sonia, dotąd cień tylko swej siostry, występuje teraz samodzielnie! Nią nie kieruje pospolita miłość, którą się aż do przesytu w książkach znachodzi. Sonia taką miłością gardzi!

Stąpała szybko drobnemi swemi nóżkami. Wiedziała, że to nie żadna schadzka, że krokami jej kieruje wyższy cel, biegła pospiesznie w odległe ulice, do biednego, niepozornego domu, wpadła bez tchu na ciemne schody i zapukała trwożliwie do drzwi, które się w tej chwili otworzyły.

Młodzieniec, który oczekiwał niewątpliwie na jej przybycie, wprowadził ją do swego studenckiego pokoju; leżały tam na stole i na stołkach papiery i książki, jedna tylko sofa wolna była; na niej też spoczęła Sonia. Młody student nie wyglądał z powierzchowności na bohatera romansu: z gęstą, rudą brodą, zbyt dużym nosem, na pierwszy rzut oka był odrażająco brzydki; wpatrzywszy się jednak w jego piękne, rozumne oczy, pełne szlachetności i łagodności, zapominało się o jego brzydocie. — Zachował się w obec młodego dziewczęcia, oddającego mu się w tak niezwykły sposób, jak starszy jej brat. W największej niespokojności oczekiwali, przysłuchując się pilnie, czy nie usłyszą zbliżających się kroków. Sonia na najlżejszy szelest zrywała się, blizka omdlenia.

Rodzice, powróciwszy do domu, zaledwie mieli czas, aby się przed przybyciem zaproszonych gości przebrać, nie zauważyli przeto nieobecności córki, aż w chwili gdy już do stołu siadano. „Gdzie Sonia? — zapytali Aniuty, która śmiertelną trwogą zdjęta, siliła się na pozorną odwagę. „Wyszła“ — odezwała się, nie patrząc na ojca i usiłując przybrać spokojny ton „Wyszła? Jak? Gdzie? z kim?“ „Sama — Na jej gotowalni leży list.“

Posłano służącego po list i wszyscy w grobowem milczeniu zasiedli do stołu.

Sonia, zręczniej, niż się spodziewać mogła, cios ten wymierzyła. Jej dziecięcy upór, jej bezwzględne samolubstwo dotkliwie ojca zraniło. W obec dalszych i bliższych członków rodziny zmuszony był znieść upokorzenie od własnej swej córki. List zawierał kilka słów tylko: „Przebacz ojcze! Jestem u Woldemara, Błagam cię, nie sprzeciwiaj się naszemu połączeniu!“ Iwan Siergiejewicz, przeczytawszy te wyrazy, powstał, przepraszając obecnych zaledwie dosłyszalnym głosem.

W dziesięć minut potem posłyszała Sonia i jej towarzysz pospieszne kroki i gwałtownie roztwierające się drzwi. Jenerał Rajewski stanął przed drżącą córką.

Przy końcu obiadu ukazał się ojciec wraz z córką i Woldemarem Kowalewskim w sali obiadowej. „Pozwólcie, że wam przedstawię narzeczonego mojej córki Soni“ — przemówiła zmięszana pani Siergiejewicz.

II.

Na uniwersytecie.

Tak się odbyły, według opowiadania Soni, niezwykłe te zaręczyny. Rodzice przebaczyli i wkrótce potem, w październiku 1868 roku, odbył się ślub w Palidino.

Młodzi małżonkowie wyjechali do Petersburga, gdzie Sonia weszła od razu w kółka, kierujące nowemi dążnościami, a do których od dawna należeć pragnęła. Przyjaciółka jej, z którą ją wówczas ścisłe węzły łączyły, tak opisuje wrażenie, jakie w towarzystwach sprawiła: „Pomiędzy temi, wyłącznie polityką zajętemi niewiastami, po za którą u nich mało w sercu, a mniej jeszcze w głowach dopatrzeć się było można, odznaczała się pani Kowalewska pod każdym względem. Zaledwie ośmnasty rok skończyła a wydawała się znacznie młodszą; małego wzrostu, drobna, kształtna, z pełną twarzyczką, bujnemi, ciemnemi, krótko obciętemi włosami, pełna życia, z oczami, których wyraz co chwila się zmieniał, raz promienny, jasny, to znowu poważny, głęboki. W całem jej zachowaniu widać było wielką rozmaitość: raz naiwność, prawie dziecięcą, to znowu bogactwo poważnych, głębokich myśli. Pociągała wszystkich ku sobie niezwykłym swoim urokiem. Starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, wszyscy lgnęli do niej. Swobodna w towarzystwie, bez cienia kokieteryi, zdawało się, że nie widzi hołdów, które jej wszyscy wszędzie składali. Nie dbała o swoją powierzchowność, ani o strój, który był zawsze niezmiernie skromny, prawie zaniedbany. Gdyśmy raz były ożywioną rozmową zajęte, (wówczas każda rozmowa stawała się dyskusyą), Sonia Kowalewska zajęta była obrywaniem garnirunku u swego rękawa, który był cokolwiek nadpruty; gdy nareszcie swoją pracę skończyła, rzuciła w kąt garnirunek, jako rzecz całkiem niepotrzebną.

Przebywszy pół roku w Petersburgu, odjechała młoda para na wiosnę 1869 roku do Heidelbergu: pani Kowalewska na kursa matematyki, mąż jej na geologię. Zapisawszy się na uniwersytet, pojechali na czas letnich wakacyi do Anglii. Z tego pobytu skorzystała Sonia Kowalewska i poznała kilka wybitnych osobistości: George Eliot, Darwina, Spencera, Huxleya i kilka innych.

W dzienniku George Eliot znajdujemy następujący ustęp: — „W niedzielę odwiedziła nas zajmująca rosyjska para, państwo Kowalewscy. Ona zajmująca osoba, głos ma miły, lękliwy, uczęszcza w Heidelbergu na kursa matymatyki (za osobnem pozwoleniem). On uprzejmy, rozumny, poświęcił się geologii, ma zamiar udać się do Wiednia, żonę pozostawia w Heidelbergu“.

Plan ten opóźnił się o kilka miesięcy. Życie pani Kowalewskiej opisuje w dalszym ciągu przyjaciółka jej, która otrzymała od swoich rodziców pozwolenie uczęszczania razem z Sonią na kursa w Heidelbergu:

W kilka dni po mojem przybyciu powrócili też i państwo Kowalewscy z Anglii. Ona wydawała się szczęśliwa, wesoła, zadowolona ze swej podróży, świeża, rumiana, uprzejma, taka jak wtedy, kiedy ją poznałam; przybyło jej nawet życia i ognia w oczach. Mówiła, że nabrała więcej jeszcze chęci do rozpoczętych nauk, co nie przeszkadzało jej cieszyć się każdą, choćby nawet dziecinną rozrywką. Pamiętam naszą przechadzkę na drugi dzień po jej powrocie z Anglii. Puściłyśmy się daleko, aż po za miasto i gdyśmy się na równinie ujrzały, zaczęłyśmy biedz na wyścigi jak małe dziewczątka. Boże! jakże są miłe te wspomnienia z pierwszych naszych uniwersyteckich lat! Sonia Kowalewska zdawała się być zupełnie szczęśliwą, w najwznioślejszem tego słowa znaczeniu, a jednak później wspominając o tych czasach, mówiła, że zmarnowała swą młodość.

Powracam często myślą do pierwszych miesięcy, spędzonych w Heidelbergu do ożywionych dyskusyi, tyczących się najrozmaitszych spraw, do jej poetycznego stosunku z mężem, kochającym ją szczerze, gorąco. Ona odpłacała mu takąż samą miłością, oboje nie znali jeszcze tej płaskiej namiętności, której ludzie miano miłości nadają. Gdy to wszystko rozważę, zdaje mi się, że Sonia Kowalewska nie miała powodu uskarżać się: czas miała zapełniony poważną nauką, miała za towarzysza człowieka, który ją serdecznie miłował. Jest to jedyny okres, w którym widziałam Sonię szczęśliwą. W rok później wszystko się zmieniło.

Wkrótce po naszym przyjeździe do Heidelbergu, rozpoczęły się wykłady; w dzień chodziliśmy wszyscy troje na uniwersytet, wieczory schodziły na pracy, w ciągu tygodnia nie mieliśmy wolnego czasu, jedynie w niedzielę wybieraliśmy się na odległe wycieczki, czasem jeździliśmy do Mannheimu do teatru. Nie mieliśmy żadnych znajomości, prócz jednej profesorskiej rodziny.

Sonia Kowalewska w samym początku kursów uniwersyteckich zwróciła uwagę profesorów niezwykłą swoją zdolnością do matematyki.

Profesor Königsberger, sławny profesor fizyki Kirchhoft, na którego wykłady czas jakiś uczęszczała — wszyscy wyrażali się o niej z najwyższem uznaniem. Sława jej tak była głośna, że przechodnie stawali na ulicy, aby się tej znakomitej Rosyance przypatrzeć. Wracając raz z miasta, opowiadała z uśmiechem, że jakaś uboga kobieta z dzieckiem na ręku zatrzymała się i wskazując ją, mówiła do dziecka: „Patrzaj, przypatrz się dobrze, to jest ta panienka, ktora tak pilnie do szkoły chodzi“.

Niesmiała, niewysuwająca się nigdy naprzód, w obec profesorów i kolegów, pokorna, wchodziła zawsze ze spuszczonym wzrokiem na salę uniwersytecką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ustawicznie słyszymy powoływania się na zmarłych świadków. Czyżby dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy najważniejsi świadkowie powymierali?

Prez. Jouaust zastrzega się przeciw podobnym wycieczkom sarkastycznym ze strony obrońcy.

Na tem zakończył się epizod Freystättera, który wywarł olbrzymie wrażenie. Nakoniec przesłuchano w sobotę rysownika Javala, który wydał niesłychanie ujemną opinię o orzeczeniu znawcy pisma Bertillona co do bordereau i wogóle o jego systemie rozpoznawania charakteru pism, nazywając go pretensyonalnym, który w dodatku nadzwyczaj łatwo na nie wywrócić.

Posiedzenie po tem zamknięto i odroczono do poniedziałku.

* * *

Paryż 28 sierpnia. Dzienniki rewizyonistyczne piszą, iż sobotnie zajścia w sali sądu wojennego w Rennes były niezmiernej doniosłości zdarzeniem; uważają one przesłuchanie du Paty'ego za bezwzględnie konieczne. Natomiast anti-rewizyonistyczne pisma uważają zeznania kapitana Freystättera za nic nie znaczące, albowiem on sam oświadczył, że zawartość tajnych dokumentów mało wpłynęła na decyzyę sądu wojennego. Dzienniki te kładą zaś nacisk na zeznania Bertillona.

Dyrektorowi dziennika *Eclair* i jednemu dziennikarzowi wytoczono śledztwo, ponieważ przy ogłoszeniu swego czasu dokumentu „cette canaille de D...“ zamiast litery „D“ umieszczono nazwisko „Dreyfus“.

Echa z wód.

Solec w sierpniu.

Rok bieżący zalicza się w Solcu pod względem napływu gości do nader pomyślnych: wydano dotąd przeszło 15.000 kąpieli, przyjezdnych było przeszło 500 osób; obecnie jeszcze bawi około 300 kuracyuszów.

W porównaniu z innemi miejscami kąpielowemi, np. Krynicą, Ciechocinkiem, a nawet Buskiem, są to cyfry małe, ale nie zapominajmy, że Solec jest miejscem bardzo oryginalnem, a niemniej oryginalne są jego dzieje. Oryginalność ta polega na tem, że gdyby Niemcy posiadali takie źródła, przez największe powagi od lat dziesiątków uznane bezsprzecznie za jedne z najmocniejszych w Europie źródła siarczano-słone, jod i brom zawierające, oddawnaby już stworzyli tu drugi Kreuznach. Tymczasem wielu z kolei właścicieli Solca, aż do obecnych włącznie, zupełnie byli i są zadowoleni z jego skromnego, cichego stanowiska i nie możemy im brać tego za złe; woda mineralna może być wyciąganą ze studni na 400 stóp głębokiej tylko konnym kieratem za pomocą wiader, tj. sposobem zupełnie pierwotnym; na to jednak żadnej niema rady, gdyż oprócz czystego złota, niema na świecie metalu, któregoby w nader krótkim czasie nie zniszczyło zetknięcie z tak silną wodą mineralną; o wszelkich więc pompach i innych urządzeniach mechanicznych mowy być nie może. Bardzo więc rzecz naturalna, że studnia tak eksploatowana nie może dać wyżej 40, a niechby 50 tysięcy kąpieli rocznie, czyli że sam Solec uczciwie i sumiennie obsłużyć może niewiele więcej, jak 1.000 kuracyuszów rocznie. Gdyby objęli go spekulanci, sprowadzający za pomocą szumnych reklam tysiące osób, wątpić niepodobna, że z konieczności zaczęłoby się dolewanie do kąpieli czystej wody itp. szacherki, od których kuracyusze obecnie są zupełnie zabezpieczeni

Bardzo trafnie rozporządził się zarząd Buska, że wobec wielkiego napływu gości w roku bieżącym, wolał przerwać wydawanie kąpieli w niedziele, niż je rozwadniać, gdyż byłoby to najwyższe nadużycie zaufania publiczności. W Solcu zaś dotąd przerwa niedzielna nie była potrzebną, gdyż oprócz codziennej produkcyi źródła, zapasowe rezerwoary zawierają obecnie jeszcze kilka tysięcy kąpieli; zapasy takie stworzyć można podczas zimy i wiosny swobodnie, gdyż wody siarczane nie psują się nigdy i nie rozkładają.

Skromnemu temu stanowisku Solca w zupełności odpowiada całe jego urządzenie, mające na względzie raczej zdrowie i rzeczywiste wygody gości, niż elegancyę i blichtr zewnętrzny: domki niskie, drewniane, ale wygodne, czyste i suche; obiady skromne ale hygieniczne, smaczne i tanie (cały obiad 50 kop., a za niebraną potrawę odtrąca się po 20 lub 15 kop.).

Najstaranniej przedstawia się budynek kąpielowy, drewniany i bardzo już stary; ale łazienki wewnątrz oszalowane czyściutko nowemi deskami i wanny bardzo wygodne, emaliowane z fabryki Mariahütte na Szląsku Pruskim. Zarząd kąpielowy chciał je sprowadzić z fabryk krajowych, ale żadna z nich nie mogła się podjąć obstalunku i trzeba je było zamówić za granicą, pomimo, że cło półtora raza przewyższało ich cenę fabryczną. Wanny takie są już ustawione nawet w kąpielowym szpitalu św. Edwarda, na miejscu dawnych, drewnianych, które dziś używane bywają tylko do kąpieli mułowych.

W szpitalu dwu chorych otrzymuje całkowitą kuracyę kosztem zakładu; pozostałe 48 miejsc zajmują chorzy, przysyłani kosztem gmin i zarządów miejskich, dla których wszakże zakład wydaje w sezonie 500 kąpieli darmo. Lekarzem szpitalnym i zakładowym jest dr. Włodzimierz Daniewski, którego energii i staranności Solec dużo zawdzięcza ulepszeń.

Największą wszakże, oprócz nadzwyczajnej potęgi kuracyjnej samej wody, atrakcyą Solca jest jego miły, prawdziwie sielski charakter. Jest to w całem tego słowa znaczeniu wieś — błogosławione ustronie, szczególniej dla ludzi spracowanych, pożądających wypoczynku, i dla dzieci, nawiedzonych skrofułami. W małem kółku kuracyuszów panuje swoboda i harmonia; zwykłe nasze dzielenie się na kółka i koterye mało się daje odczuwać, choćby dlatego, że ściśle mówiąc, za mało jest do dzielenia materyału.

W roku bieżącym przygrywa nam doskonała orkiestra włościańska hr. Łosia z Deszna, a raz na tydzień, we środy, daje przedstawienia trupa lubelska p. Janowskiego, przyjeżdżająca z Buska, gdzie gości obecnie stale.

Na zakończenie muszę dodać, że najlepiej jechać do Solca i do Buska przez Kielce, gdzie można dostać dorożki po cenie względnie dość umiarkowanej: do Buska średnio — 5 rb., do Solca — 7 rb. za wygodny powóz parokonny.

Co i o czem piszą.

W świeżym zeszycie *Wisły* znajdujemy zapowiedziany już poprzednio przekład jednego z rozdziałów dzieła St. Rożnieckiego (po duńsku) „*Pollakkerne i Danemark 1659 efter Jan Pasek* p. t. „Duńskie podania ludowe o Polakach.“ Źródła piśmienne nie wyczerpują wiadomości o wojnie, opisanej przez Paska, w różnych też miejscowościach Jutlandii i Fionii wspomnienie o najeździe obcokrajowców do dziś dnia żyje jeszcze w licznych podaniach ludowych. Są one w Danii powszechnie znane, często bowiem znajdują się w druku, szczególnie w wypisach szkolnych. Podania te nie są przychylne dla Polaków, przedstawiają ich w sposób wielce naiwny, autor zaś p. St. Rożniecki wykazuje na podstawie zestawień historycznych i krytyki logicznej, iż wśród nich nie ma wcale opowieści zgodnych z prawdą. Ogólną charakterystykę autor streszcza w następującem:

„Na Fionii najstraszniejsze okrucieństwa przypisywano Szwedom, a podania o Polakach były zupełnie inne. W Jutlandii przeciwnie rozpowszechniona jest o Polakach zła opinia i nie ma prawie końca złośliwościom, jakie im podania przypisują. Brandenburczycy nigdzie prawie nie są wyraźnie wymieniani, wojska cesarskie rzadko.

„Ponieważ wojna była osią, około której obracały się wcześniejsze i późniejsze podania, Polacy zatem stali się środkowym punktem tej osi. Zaraz po swem wejściu do kraju pozyskali złą opinię i nie bez słuszności. Następne ich zachowanie się tej opinii nie podtrzymywało, a jednak musieli oni wziąć na siebie bardzo znaczną część wykroczeń Szwedów, Brandenburczyków i cesarskich, powiększonych potem do potworności. Istnieją podania o ich wyuzdaniu z okolic zachodnich wybrzeży Jutlandyi, gdzie noga ich nigdy nie postała i kwatery mieli tam wyłącznie cesarscy“.

Dla Duńczyków, wojsko polskie, złożone z semenów, husaryi, towarzyszów pancernych, wydało się czemś zupełnie dziwnem i dlatego w podaniach swych mieszali ich z tatarami i cyganami *(Tatern)*. Parę razy Polaków nazywają „Moskowiter“, co odnosi się już do czasów późniejszych. Wszystko to wywołało zupełne zamieszanie w podaniach. Lud opowiada też o Polakach to, co tylko do tatarów lub cyganów stosować się może.

„Jest to rzecz naturalna, gdyż o żołnierzach Czarnieckiego lud zachował tylko niejasne wyobrażenie, gdy tymczasem daleko później miał sposobność często osobiście stykać się z cyganami. Z tego powodu podania fiońskie przypisują Polakom najdziwaczniejsze rzeczy, np. że łapali koty, żmije, żaby i psy, które zabijali i surowe zjadali, lub też, że zabijali swe chore dzieci i zgrzybiałe kobiety, aby im nie były ciężarem. Mieli oni jakoby wprowadzić palenie tytoniu, wódkę i — szczury; to ostatnie lud sam objaśnia w ten sposób, że po wymarszu wojsk niektórzy pozostali Polacy utrzymywali się z wróżb, czarów i t. p. Gdy rząd wydał zakaz, wzbraniający im tego, zagrozili, że na swe miejsce przyszlą nieproszonych gości, t. j. szczury“.

Polakom przypisywano wreszcie nadnaturalny zmysł „węchu“, sprowadzanie wilków i t. d. Interesującą jest rzeczą, iż podania duńskie przypominają podania ludowe polskie o najeździe szwedzkim z 1655 go — 1660-go roku. Ponieważ nie można tu mówić o zapożyczeniu, przeto podobieństwo wypływa oczywiście z tego samego źródła, to jest jednakowego ogólnoeuropejskiego poglądu ludu na jednoznaczność stosunków.

Jako próbkę naiwnej fantazyi ludowej, przytaczamy jedno podanie duńskie o Polakach:

„Polacy przyszli do plebana w Toflund, w obwodzie Haderslev, jeden z nich wyświdrował dziurę w furtce, przeciągnął przez nią brodę pastora i przykuł pastora kołkiem w ten sposób, że pastor musiał tam stać, dopóki nie przyszli jego ludzie i nie uwolnili biedaka. Ale od tego czasu Polaka dręczyły wyrzuty sumienia. Usilnie szukał śmierci, ale nie mógł umrzeć. Wrócił więc, i pleban odpuścił mu grzechy; Polak umiera tedy spokojnie i zostaje pogrzebany w Herrested, gdzie pokazują jeszcze jego mogiłę“.

W Danii okazują wogóle wiele t. zw. „dołów polskich“, gdzie jakoby rzucano „Polaka“, ujętego na rabunku. Oczywiście w autentyczność tych dołów wierzyć niepodobna, gdyż ani wieśniak jutlandzki nie był tak wojowniczym, ani wojska tak nieprzezorne, aby „Polacy“ chodzili pojedyńczo. Ze źródeł zresztą duńskich, okazuje się, że t. zw. „doły polskie“ są to tylko miejsca, gdzie grzebano umarłych na zarazę, jaka wybuchła podczas wojny.

* * *

Korespondent radykalnego warszawskiego pisma *Prawda* zwraca na to uwagę, jak coraz bardziej dziczeją obyczaje we Francyi. Charakterystyczną jest jednak rzeczą, że korespondenta tego nie uderza wcale ten fakt, iż dzieje się to w kraju, w którym oświata stoi wysoko, szkół jest pełno, i to nawet bezwyznaniowych, a więc najbardziej postępowych; w którym stare przesądy, jak Bóg, wiara, rodzina etc. są podeptane i przez państwo nie uznawane; w którym rozwody doprowadzono do takiej łatwości, że niemal zrealizowano ideał wolnej miłości dekadentów. W tem odjęciu Francyi wszelkich ideałów nie widzi ów korespondent źródła owego zdziczenia obyczajów, lecz zadowala się skonstatowaniem samego faktu. Oto co pisze:

„W mieście Roubaix w cyrku wobec zebranych tysięcy ludzi dano widowisko walki byka ze lwem. Walka ta nie była długą. Byk, ujrzawszy lwa, rzucił się nań, obalił go i przebił rogami na wylot. Nic boleśniejszego nad konanie króla pustyni. Lew pełzał, brocząc we krwi, wzdłuż krat areny i jakby błagał, aby go dobito. Potem położył się na piasku i jął umierać. Czternastotysięczny tłum rozgniewał się na to, rozległo się gwizdanie. Jeden zaś z siedzących w najbliższym rzędzie począł okładać laską łeb dogorywającego zwierzęcia.

Innym razem w Marsylii:

Na czwartą godzinę zapowiedziano występy toreadorów Qinita i Algabena. Lecz o czwartej i pół nikogo nie było jeszcze na arenie. Algabeno wzbraniał się wystąpić, póki mu dyrektor nie złoży umówionej sumy 5.000 fr. Targi trwały tak długo, że nareszcie tłum uniósł się. Stoły i ławki zaczęły spadać na arenę, a gdy powstały z nich dwa stosy, para zuchów podłożyła pod nie ogień. Wnet uczyniono to i w innych miejscach, kilku widzów chciało jeszcze otworzyć stajnię z bykami i wpędzić je w pożar.

Inne fakty:

Parę lat temu mieszkańcy Montaubanu wystosowali do Faure'a petycyę, by ścięcie mające się odbyć gdzie indziej przeniesiono do ich miasta, „bo już dawno egzekucyi nie widzieli“.

Jakiś dowcipniś, złowiwszy pół tuzina myszy w pułapkę rozłożył na jednym z podmiejskich placów ogień i począł je piec. Tłum zbiera się, patrzy na męczarnie zwierząt i zamiast słów potępienia wypowiada dowcipy.

Albo też w Awinionie:

Właściciel menażeryi donosi afiszami, że jutro odbędzie się w jego cyrku ukaranie śmiercią niedźwiedzia. Nazajutrz tłum tak napływa, że w chwili otwarcia przedstawienia cena biletów podnosi się w dwójnasób.

Tyle słów korespondenta *Prawdy* Rzeczywiście są to straszne fakta, a związawszy je z gangreną moralną, która toczy całą administracyę publiczną we Francyi tak cywilną jak i wojskową, musi każdy ze zdumieniem patrzyć na upadek Francyi, tej Francyi, która przecież pod względem oświaty stoi na przodzie Europy.

Wizyta u oryginalnego malarza polskiego.

W Zakopanem bawi obecnie poeta i literat czeski, p. Franciszek Vondraczek. Przejeżdżał on, naturalnie, przez Kraków, a stamtąd wpadł z wizytą do znanego artysty-malarza, Włodzimierza Tetmajera, brata poety. Z odniesionemi z tej wycieczki wrażeniami p. Vondraczek podzielił się ze swymi współrodakami i w ten sposób urodził się oryginalny rodzajowy obrazek, zamieszczony świeżo w jednym z numerów *Narodnich Listów* p. t.: „U polskeho umielce“ (U artysty polskiego). Z obrazka tego wykroimy kilka fragmentów, posiłkując się gotowym już przekładem z *Ruchu katolickiego*.

Po wstępie, poświęconym krótkiemu pobytowi w Krakowie, autor czeski w formie dyalogu tem oryginalniejszego, że słowa swego „cicerone“ krakowskiego, poety Lucyana Rydla, cytuje po polsku, kreśli tak dalsze swoje wrażenia:

— Co teraz mój kochany? — zapytuje mnie przyjaciel Rydel. — Muzea, wystawy są po południu zamknięte. Gdzieby cię zawieźć? Aha, już wiem. Udamy się do Bronowic. do Tetmajera. Poznasz niezwykłego człowieka, wielką duszę, artystę w każdym calu. Przytem poznasz zblizka naszą wieś.

— Czy Tetmajer ma tam willę?

— Bynajmniej, on tam gospodaruje; żyje jak chłop, z chłopką się ożenił, z chłopami pozostaje w stałych stosunkach. Maluje i opisuje życie naszego chłopa.

Byłem ciekaw poznać niezwykłego artystę-chłopa.

Kilkakrotne „moje uszanowanie“ na lewo i prawo, a już jesteśmy na drodze w kierunku Łobzowa i Bronowic, wsi odległej o godzinę jazdy od Krakowa. Po drodze spotykamy chłopów na długich, krakowskich wozach, albo chłopki, malowniczo przyodziane. Na miłej pogawędce upłynęła nam podróż. Jesteśmy w Bronowicach. Wioska rozłożona na nieznacznym stoku; chaty pokryte strzechami, ściany ich oblepione gliną. W środku wsi piękna szkoła murowana z wielkiemi oknami. Różni się znacznie od chat otaczających, jak chłop od ludzi z miasta, od „surdutowców“, „ciarachów“.

— Tam, na pagórku, mieszka Włodek — objaśnia przyjaciel. I oto zbliżamy się do czystej chaty — Tuż przed nami mieszka jego teść — rzecze. Właśnie siedzi u okna.

Przez okno widzę twarz starca sześćdziesięcioletniego.

Pozdrawiamy go, pytamy o zdrowie, a Rydel dodaje:

— Włodek w domu?

— Tak, tak!

— Do widzenia!

— Do widzenia!

Mijamy domostwo teścia, stajemy przed prostą, czystą chatą, strzechą pokrytą, z ogródkiem przed oknami, z altanką przed mieszkaniem.

Naprzeciw nas wychodzi wysoki, około 35-ciu lat, dość silny mężczyzna, w szerokim, słomkowym kapeluszu, w niebieskiej koszuli, spiętej pod szyją wielkim, jak włoski orzech, guzikiem. To on, malarz-chłop, Włodzimierz Tetmajer!

Powitał nas serdecznie. Coś nadzwyczaj miłego, słowiańskiego, dobrego lśni w oczach artysty. Z radością przyjmuje wiadomość, że jestem Czechem. Natychmiast zaprasza, byśmy weszli do wnętrza. Świetlica prosta, czysta, strop drewniany. Na belce, u stropu, wypalony napis: „Bądź pochwalon Jezus Chrystus!“ Ściany pokryte samymi obrazami.

— Zaraz tu będzie moja żona — przypomina Tetmajer i biegnie do drugiej świetlicy. Po chwili weszła do świetlicy piękna, 25 letnia chłopka, rysów niewymownie miękkich, odziana zupełnie po chłopsku. Pstre szaty, wyszywany gorsecik, zawój na głowie, włosy krótko przystrzyżone, jak u zamężnej kobiety, korale wielkie na szyi. Wszystko zastosowane do zwyczajów miejscowych.

— Moja żona! — przedstawia Tetmajer.

Przywitała nas bez przymusu. Mówiła prosto, ale z jakąś pewnością siebie. Tak jakoś dźwięcznie, miękko, płynęła z jej ust małych polszczyzna, tak było w niej wszystko miłe! Nie dziwiłem się bynajmniej kochanemu Włodkowi, że przeniósł się z hucznego miasta na cichą wioskę.

Wnet na małym stoliku w altance, gdzie usiedliśmy, znalazł się chleb czarny, ale smaczny, miód i masło.

Wypiliśmy po kieliszku wódki „na zdrowie pani“ i posililiśmy się.

W tym czasie przedstawił nam Włodek swoje dzieci. Ma pięć córeczek. Z małą Marysią byliśmy wkrótce bardzo dobrze. Siedziała u mnie na kolanach, jak gdyby mnie znała oddawna.

Bawiliśmy się bardzo dobrze; mówiło się o stosunkach literackich i artystycznych. Tetmajer wygłaszał wszechstronne, szerokie poglądy i zdradzał prawdziwie artystyczny smak.

Wstajemy od stołu, a artysta prowadzi nas do swej pracowni, która się znajduje w tylnej części domu. Jest to wielka, wysoka świetlica, z ogromnem szklanem oknem. Tu widać ślady pracy twórczej artysty. Mnóstwo szkiców, studyów, obrazów. Na podstawie (sztaludze) rozpoczęty obraz „Procesya“, dokoła pełno studyów do niego. Ze wszystkiego przebija miłość artysty ku ludowi, wśród którego żyje, z którym przez ożenienie się, choć jest szlachcicem, węzłem krwi się zjednoczył, z którym czuje i w którym tyle nadziei pokłada. Maluje tak wspaniale typy chłopskie, umie tak wiernie odczuć ducha wsi polskiej, powietrze kraju polskiego.

Na pamiątkę otrzymałem mały obrazek, krajobraz, widok wioski Bronowic. Istny klejnot, miła pamiątka odwiedzin.

Ledwieśmy obejrzeli pracownię artysty, aż tu zaprasza nas miła pani domu na „mały posiłek“. Jak szybko się ze wszystkiem uwinęła. Wnet podano nam jajecznicę, znakomity bigos, a także żur.

Mile płynęły chwile. Pijemy „na zdrowie pani“.

Przyszedł też szwagier pani Tetmajerowej, chłop barczysty, zdrów, oraz jego żona a siostra naszej gościcielki, i prześliczna Jadwisia, młodsza jej siostra; cała to interesująca rodzina.

Późnym wieczorem wsiedliśmy na wóz krakowski i rozstali się z artystą i jego domostwem. Jasiek, szwagier Tetmajera, zaciął batogiem i wybraliśmy się z powrotem do Krakowa.

Perseidy.

Zachmurzone przeważnie niebo tegoroczne nie pozwoliło nam na początku b. m. napaść dostatecznie wzroku prześlicznymi zjawiskami świetlnymi, jakie w tym czasie widzieć się dają na niebie. Oto na głęboko ciemnym błękicie sierpniowego wieczoru zjawia się nagle pośród mrugających gwiazd światełko, które rośnie w oczach, jarzy się nieraz różnymi kolorami i leci przez chwilę pomiędzy gwiazdami aż zgaśnie. Za nim następuje drugi taki fenomenik, trzeci, czwarty i t. d. Często zjawia się po kilkanaście takich światełek przelatujących i gasnących naraz całymi gromadkami. Zjawiska te, znane pod utartą nazwą gwiazd spadających występują najobficiej właśnie w pierwszej połowie sierpnia a najpiękniejszymi z nich są tzw. Perseidy.

Pochodzenie tych zjawisk do niedawna było zagadkowem. Początkowo uważano je za mgły i opary ziemne, które wzniósłszy się z ziemi zaczynają w górze dzięki nieznanym procesom chemicznym przybierać postać latających gwiazdek. Później uważano je za węgle wyrzucane przez wulkany księżycowe. Jedno i drugie tłómaczenie jednak okazało się niesłusznem. Przed 105 laty fizyk Chladni wytłómaczył pierwszy te zjawiska, jako szczątki ciał niebieskich, a w szczególności komet, które po swoim przelocie zostawiły na swej drodze resztki swojego świecącego ciała. Jeszcze późniejsze badania wykazały jednak, że nie wszystkie meteory są pozostałościami komet. Oto przedewszystkiem te, które występują sporadycznie, i dają się zauważyć we wszystkich porach roku w zupełnem udosobnieniu, są szczątkami jakichś innych ciał niebieskich, przelatującymi przestwory i świecącymi, ilekroć zbliżą się do ziemi.

Oto jak astronomowie tłumaczą tajemnicę świecenia meteorów Przez ciemne i zimne przestwory leci jakiś głaz, oderwany od jakiegoś ciała niebieskiego pędzony siłą rozpędu, jaką miało niegdyś to ciało, od którego się oderwał. Leci zimny i bezświetlny, jak długo przebywa próżnie przestworów. Dopiero gdy w biegu swym zbliży się do ziemi, następują w nim zmiany. Dostawszy się w sferę przyciągania ziemi, zaczyna ku niej drogę swą naginać. Równocześnie gdy tak się zbliży do ziemi, że przelatywać pocznie przez jej atmosferę, tarcie powstałe z przeciskania się głazu przez powietrze rozgrzewa go tak mocno, że zaczyna się jarzyć i świecić. Mniejsze meteory nie mające zbyt wielkiej siły rozpędowej, poprzyciągane przez ziemię, spadają na jej powierzchnię. Inne zdoławszy się wyrwać z jej objęć, mijają jej atmosferę, a gdy ustanie tarcie o powietrze, meteor gaśnie, chłodnie i zastygły pędzi dalej przez czarne, zimne przestwory.

Od komet pochodzą prawdopodobnie owe gromadki drobniutkich meteorków, które peryodycznie co roku w pierwszej połowie sierpnia dają się widzieć na niebie. Badania sławnego astronoma Sciaparellego nad najpiękniejszymi z tych zjawisk Perseidami, potwierdzają hypotezę pochodzenia ich od komety. Meteorki te ukazują się od 6 sierpnia w grupie planetarnej „Perseusz“, przybierają na liczbie i świetności aż do 10 sierpnia, potem nikną stopniowo, aż około 15 sierpnia przestają się ukazywać. Sciaparelli zbadał, że gromadki tych meteorów krążą po tej samej drodze, którą przebiegł kometa III z roku 1862 i co roku przecinają drogę ziemi. Oprócz tego zauważył ten astronom jeszcze, że gromadki te w dalszej swojej drodze dzielą się tak, jak się to często dzieje u komet. Badanie Perseidów za pomocą analizy spektralnej wykazało też, że podobnie jak komety, składają się te gromadki z ciałek o bardzo małej gęstości i wadze. Po wejściu w atmosferę ziemską spalają się one i ulatniają, lub opadają w formie niesłychanie delikatnego popiołu na ziemię. Popiół ten badał astrofizyk Nordenskiöld na świeżo spadłym śniegu w obserwatoryum w Alpach i na dalekiej północy.

Badania meteorów przyniosły jeszcze inną zdobycz naukową. Przedtem mniemano, że atmosfera ziemska ma co najwyżej 15 mil średnicy. Tymczasem zauważono meteory jarzące się już w oddaleniu 35 mil od powierzchni ziemi. Ponieważ zaś meteor świeci dopiero po zetknięciu się z atmosferą, więc najlepszy w tem dowód, że grubość pierścienia powietrznego, otaczającego naszą ziemię, przenosi 35 mil.

Praga a Kraków.

Znany dziennikarz rosyjski, Oboleński, który jakiś czas bawił w Krakowie i w Pradze, opisuje w dzienniku *Nowości* swoje wrażenia z pobytu w tych miastach w artykule p. t. „Dwie stolice zachodniego słowiaństwa“, i porównując oba te miasta ze sobą, pierwszeństwo przyznaje Pradze, a dla Krakowa nie szczędzi słów nagany. W Pradze, jego zdaniem, wszystko w ogóle i w szczególności robi wrażenie pulsującego twórczego życia, idącego ciągle naprzód; w Krakowie przeciwnie wszystko na każdym kroku mówi nam o zastoju, opuszczeniu, zmurszałości i rozkładzie. Wjeżdżając do Krakowa, ma się wrażenie, jakby się przybywało do jakiegoś starożytnego, niegdyś pięknego zamku, w którym wszystko się wali, nic się nie naprawia, w którym wszystko jest skazane na pastwę czasu i żywiołów. O Pradze natomiast, można powiedzieć, zachowując tę samą przenośnię, że przypomina ona również zamek, ale taki, który wzięła w ręce kompania przedsiębiorcza Amerykanów w spółce z artystami Włochami. A przecież Kraków znajduje się — zdaniem Oboleńskiego — w tych samych historycznych warunkach co Praga, przyczyn zaś jej zaniedbania nie można wytłómaczyć polskim charakterem, gdyż np. Warszawa, miasto rdzennie polskie, ma wszystkie cechy miasta postępowego.

Korespondent *Nowosti* nie wdając się w wytłómaczenie przyczyn zacofania Krakowa, kreśli tylko swoje wrażenia, które odniósł w tych miastach jako turysta i o Pradze pisze tak:

„Co do zewnętrznego wyglądu, Praga nie pozostawia nic do życzenia: piękne nowe gmachy publiczne o doskonałej architekturze, doskonałe oświetlenie elektryczne, wspaniałe mosty, wyborne bruki, a przytem nawet w mozaikowym układzie płyt na trotoarze widać skłonność Czechów do łączenia pożytecznego z pięknem. Na niektórych większych ulicach widzimy zamiast zwykłych słupów latarnianych monumentalne kandelabry z mnóstwem pięknych szklanych kul; te kandelabry spotyka się tak często, a na każdym z nich płonie co wieczór tyle lampek, że ulice formalnie są zalane światłem, nie mówiąc już o piękności rysunku samych kandelabrów. Nakoniec wiele przyczyniają się do tego korzystnego zewnętrznego wyglądu wspaniałe wystawy magazynów w oknach, zaopatrzonych w olbrzymie zwierciadlane szyby i nadzwyczaj wielki ruch na ulicach, nadewszystko zaś mnóstwo wozów naładowanych towarami i zaprzężonych w tęgie konie. Każda pusta ściana zalepiona illustrowanemi ogłoszeniami, obszerne kawiarnie i restauracye, w których ściany są często pomalowane przez lepszych czeskich artystów, wszystko to znamionuje miasto, stojące na wysokim stopniu kultury.

„A teraz przenieśmy się do Krakowa i zajmijmy się znowu wyłącznie tylko jego zewnętrznym wyglądem. Na największym placu, w którego środku stoi słynne muzeum z obrazami Matejki, Siemiradzkiego i innych, omal nie wywichnąłem sobie nogi, potykając się ciągle na wybojach i szczelinach między kamieniami bruku, widocznie przez całe stulecia nie odnawianego. Nowych domów tu prawie wcale nie widzimy. Wspomniane muzeum mieści się w starym budynku, ciężkiej architektury, obdrapanym i opuszczonym. Po ulicach wloką się nędzne szkapy zaprzężone do niemniej nędznych wozów tramwajowych, tak brudnych i brzydkich, że powstydziłby się ich nawet Kiszyniew (miasto w Besarabii). Zamiast magazynów ze zwierciadlanemi szybami — szereg nędznych, ciemnych, wąskich sklepów. Zaniedbane i brzydkie są nietylko publiczne budynki, ale i prywatne domy. Wiele z nich zachowało swoją średniowieczną architekturę, lecz to samo dzieje się i w Pradze; tam jednakowoż podobne budynki i domy restauruje się troskliwie (np. prześliczny gmach ratuszowy), tu one są zaniedbane, sztukaterye się obrywają, kamień wietrzeje“.

Tyle słów p. Oboleńskiego. Polecamy je rozwadze ojców miasta Krakowa, a przedewszystkiem rozwadze magistratu krakowskiego, bo że Kraków jest brudny i robi wrażenie miasta biednego i będącego w upadku, to nie ulega wątpliwości.

Z izby sądowej.

Wiedeń 26 sierpnia.

(Handlarz żywym towarem.)

Przed tutejszym trybunałem sądu karnego stawał jako oskarżony niejaki Juda Banda z Jarosławia. Prokuratorya zarzuciła mu, że uprowadził 19 letnią Zofię Obsinę z Jarosławia i zawiózł ją do Genui, aby ją następnie wywieść do Montevideo. Banda, który mieszkał poprzednio w Buenos Ayres i znany tam był jako handlarz dziewczętami, przybył przed kilku laty do Jarosławia z kapitałem około 10.000, który fruktyfikował na pożyczkach. Poznał on wtedy dwie młode dziewczęta: Zofię Obsinę i Antoninę Szeligiewicz. Skarżyły się one Bandzie na swe smutne położenie, a on im obiecał wystarać się o „porządne“ zajęcie. Kazał więc dziewczętom przyjechać do Wiednia, a gdy one przyjechały, wywiózł je do Genui, gdzie go aresztowano w drodze telegraficznej rekwizycyi. Ponieważ co do Szeligiewiczównej nie można było mu procesu wytoczyć. gdyż oboje jej rodzice zmarli właśnie, a opiekun nie został jeszcze ustanowiony, odpowiadał więc Banda na razie tylko za Obsinę, której matka zeznała, że nie godziła się nigdy na wyjazd Zofii z Jarosławia, choć Banda utrzymywał, że chce Zofię jako kochankę przy sobie zatrzymać.

Sąd skazał Bandę na 6 miesięcy ciężkiego więzienia, a po odsiedzeniu tej kary na wydalenie z Wiednia.

Mały Feljeton.

Imć Panu Kaźmierzowi Działoszy

(odpowiedź).

Dziękuję-ć Panie Bracie za afekt, atoli
Przeczę, bym się w Amora produkował roli
W tej onej polemice. Wyraźnie pisałem:
„Nie satyrykiem byłbym, lecz klownem cym-
[bałem,
„Gdybym był tak naiwny, śmieszny, czy zu-
[chwały,
„I z kopą lat na karku, miłosne zapały
„Chciał budzić w sercach kobiet“...
Co stwierdziwszy, proszę,
Przyjm nawzajem uwagę:
Kto swoje trzy grosze,
Chociażby nawet żartem, wścibia w cudze
[sprawy,
Ten, rzecz dobrze zrozumieć niech będzie ła-
[skawy,
Bo ciąć na chybił trafił, ni to, ani owo,
Jest, jakby kto nogami myślał, a nie głową.

M. Rodoć.

KRONIKA.

Lwów 28 sierpnia.

Proces o gal. Kasę oszczędności. Za kratkami w sądzie karnym urzędownie już ogłoszono, że dnia 2-go października rozpocznie się we Lwowie nadzwyczajna kadencya sądów przysięgłych, dla której przewodniczącym wyznaczono radzcę p. Oleńskiego, a jego zastępcami radzców pp.: Gołkowskiego, Weinreba i Adamiaka. Dla tej nadzwyczajnej kadencyi wylosowaną będzie osobna ława przysięgłych, przed którą toczyć się będzie proces o malwersacye w gal. Kasie oszczędności. Rozprawa odbywać się będzie w wielkiej sali rozpraw budynku sądu karnego, a w małej sali toczyć się będą rozprawy, wyznaczone dla kadencyi zwyczajnej, rozpoczynającej się dnia 4 września.

Wiadomości urzędowe. Cesarz nadał radzcy wyższego sądu krajowego drowi Kazimierzowi Szczurowskiemu, przy jego przejściu na emeryturę, tytuł radzcy dworu z uwolnieniem od taksy. — Ministerstwo handlu zamianowało asystenta pocztowego i ukończonego prawnika, Dyonizego Mutkę, praktykantem konceptowym Dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie.

Dr. Aleksander Loria, obrońca w sprawach karnych ze Lwowa, człowiek młody i utalentowany, utonął — jak doniesiono jego teściowi, p. Hausm...

nowi — w Kołobrzegu. Dr. Loria oddawał się także z amatorstwa literaturze i niedawno opublikował swe tłómaczenie na język niemiecki czterech pieśni Maryi Konopnickiej pt. „W lesie“ do muzyki Noskowskiego. Pozostawił młodą żonę i jedno dziecko.

Prowincyałem OO. Jezuitów w miejsce ś. p. O. Badeniego obrany został O. Langer.

Honorowe obywatelstwo nadała Rada gminna miasta Tyczyna staroście p. Adamowi Fedorowiczowi.

Kraków liczy obecnie 84.000 mieszkańców. W czem 21.500 izraelitów.

Konkursa rozpisują: Sąd krajowy cywilny we Lwowie na posadę tłumacza sądowego dla języka węgierskiego. Termin do 12 września. — Kraj. Dyrekcya skarbu na posadę oficyała kancelaryjnego w X i kancelisty w XI randze w obrębie gal. kraj. Dyrekcyi skarbu oraz na posady kilkunastu woźnych przy gal. władzach skarbowych. Termin do 23 września.

Nowe stowarzyszenie. Powstało we Lwowie „krajowe Towarzystwo zaliczkowe nauczycielskie“ z ograniczoną poręką. Celem jego jest udzielanie członkom pożyczek na procent umiarkowany, ułatwianie korzystnej lokacyi oszczędności, pośredniczenie w ubezpieczaniu ich mienia i życia, pomoc w wydawnictwie ich prac naukowych, druków szkolnych itd. Do zarządu wybrani zostali nauczyciele lwowskich szkół ludowych i wydziałowych, pp.: Józef Bałaban, Ludwik Pierzchała, Jan Szafrański, Leonard Leeg, Karol Moos i Michał Mucha.

Napad. Onegdaj na ulicy Kopernika napadł na pewnego gr. kat. kapłana, przybyłego z prowincyi, subjekt zegarmistrza Rapsa, Wolf Halpern, żądając, by ksiądz zapłacił zegarek, rzekomo wzięty kiedyś u Rapsa. Ponieważ ksiądz nigdy nic u Rapsa nie kupował, ani nie jest mu nic dłużnym, nie zwracał wcale na subjekta uwagi, lecz Halpern począł coraz energiczniej dopominać się pieniędzy lub zwrotu zegarka. Powstało zbiegowisko, zjawił się też policyant i z nim udał się subjekt i ksiądz na policyę. Tam dopiero wyjaśniło się, że Halpern wziął księdza za kogoś innego, który rzeczywiście kupił u Rapsa złoty zegarek i nie zapłacił go jeszcze. Za brutalny napad skazano Halperna na 5 zł. grzywny, a nadto ksiądz oskarży go do sądu.

Pożar w Przemyślanach, o którym pisaliśmy onegdaj, pochłonął ogółem cztery gospodarstwa mieszczańskie wraz z tegoroczną krescencyą, a mianowicie należące do Adama Dziaduszewskiego. Jana Mędrzaka, Józefa Zielińskiego i Maryi Świebodowskiej. Zgorzały też budynki gospodarcze probostwa rz.-kat. Na kościele począł się już był palić dach, lecz dzięki energicznej akcyi wojska, kościół uratowano. Szkoda wynosi przeszło 10.000 złr. z czego czwartą część powróci Krakowskie Towarzystwo ubezpieczeń. Pożar — jak utrzymują — powstał z podpalenia.

Śmierć w tramwaju. W Krakowie w wagonie tramwajowym zmarł w piątek Władysław Lachowicz, kierownik szkoły ludowej im. św. Mikołaja, liczący 55 lat wieku. Przyczyną śmierci był anewryzm serca.

O Kratterze donoszą, że dostał on ze sądu lwowskiego list żelazny i jest już w drodze do Lwowa. Ma on być tak ogołocony z pieniędzy, że musiano mu dać 500 złr. na podróż. Uczynili to podobno dawni Krattera klienci, którzy do niego mają jeszcze pretensye pieniężne.

Sprostowanie. W ostatnim nrze *Przeglądu* w liście ze wsi o banku parcelacyjnym lwowskim zaszła pomyłka na drugiej szpalcie tego artykułu u dołu, a mianowicie w zdaniu: „Królestwie.. przeszło z górą 6000 morgów ziemi w ręce włościan“, ma być zamiast cyfry 6000 cyfra 60000. We fejletonie „Wpływ Piotra Michałowskiego i współczesnych ludzi na talent Juliusza Kossaka“ w nrze przedostatnim *Przeglądu* na 4-tej szpalcie u dołu ma być zamiast: „Do Bałtyku jeździł z Drohojowskim“ „Do Bałty jeździł z Drohojowskim“.

Ze sceny amatorskiej. Wskrzeszone do życia Stowarzyszenie chrześcijańskich robotników „Postęp“ urządziło wczoraj w jednym z ogrodów restauracyjnych przy ul. Krzyżowej zabawę i przedstawienie amatorskie. Członkowie Stowarzyszenia odegrali trzyaktową sztukę pt. „Klara“, której autorem jest również członek „Postępu“. Sztuka ta, co prawda, nie jest rzeczą doskonałą, bo i wątku brak jej i sceniczna budowa wadliwa, ale sam fakt, że młody rzemieślnik chwyta za pióro i pisze utwór teatralny po to, ażeby rozbudzić życie wśród członków Stowarzyszenia i dla Stowarzyszenia zainteresowanie, jest faktem niewątpliwie dodatnim. Na razie jednak, gdy siły amatorskie jeszcze nie zestrojone jak należy, lepiej powiodłoby się wystawianie sztuk mniejszych, jednoaktowych, lub urządzanie wieczorków wokalno-muzycznych. Wśród grona amatorów, które wczoraj widzieliśmy, są odpowiednie siły. W każdym razie witamy ten nowy objaw życia Stowarzyszenia, starającego się o rozrywkę dla rzemieślników i życzymy im powodzenia.

Kaprysy aury. Na Czarnohorze spadły tymi dniami śniegi, a w okolicy panuje dotkliwe zimno. We Lwowie, choć nie ma śniegu, również bardzo zimno, tak, iż wczoraj można było widzieć na ulicach starsze osoby w zimowych paltotach, a nawet futrach. Najbardziej jednak odczuł to obniżenie się temperatury lwowski korespondent *Nowej Reformy*, gdyż zatelegrafował jej, że w sobotę rano było u nas 5 stopni niżej zera. Zapewne była to omyłka, bo w rzeczywistości było 5 stopni powyżej zera.

Wojujący paroch. Paroch ruski z Zawadki koło Smorza prowadzi, jak wielu innych jego kolegów, wojnę ze starostwem o to, aby starostwo pisało do niego w urzędowych sprawach po rusku. Wojnę tę prowadzi się w ten sposób, że listów ze starostwa do urzędu parafialnego po polsku adresowanych nie przyjmuje się wcale. Otóż ks. Edwardowi Chłopeckiemu nie dość było tej walki z władzą, której wprawdzie pochwalić nie można, ale którą można zrozumieć — zapragnął dokazać czegoś więcej i zapominając o swym charakterze kapłańskim, wystąpił przeciw pocztmistrzyni zawadeckiej, tak, jak gdyby urząd pocztowy był temu winien, że starostwo pisze do niego po polsku i jak gdyby urzędnik pocztowy miał odpowiadać za przepisy, wedle których obowiązany jest postępować w razie, gdy adresat urzędowego listu bez legalnego powodu nie chce przyjąć.

Ks. Chłopecki w tym wypadku tem mniej pięknie postąpił, wnosząc do dyrekcyi pocztowej skargę na urząd pocztowy zawadecki, że urząd ten prowadzi kobieta, która i siebie i matkę staruszkę z pracy utrzymuje i że w skardze tej popisał rzeczy nieprawdziwe, a dla pocztmistrzyni zawadeckiej bardzo przykre. To też gdy pocztmistrzyni zaskarżyła za to ks. Chłopeckiego do sądu, sąd boryński 14 b. m. wyrokiem do l. 772 skazał go za przekroczenie §. 487 na 4 dni aresztu, a uwzględniając jego charakter kapłański, zamienił mu areszt na grzywnę 20 złr. Mściwy paroch, niezadowolony z takiego obrotu swojej wojny, wniósł ponowną skargę do dyrekcyi pocztowej i na podstawie tej skargi został przez pocztmistrzynię do sądu pozwany.

Ponadto pocztmistrzyni wniosła od pierwszego wyroku rekurs, domagając się wyższej na dokuczliwego parocha kary, w skargach bowiem do dyrekcyi pocztowej ks. Chłopecki oprócz zarzutów nieprawdziwych, a dotyczących tylko osoby pocztmistrzyni, przytacza jedynie postępowanie jej z polskiemi pismami urzędowemi do ruskiej parafii, to zaś postępowanie jest zupełnie zgodne z przepisami prawnymi.

Z Przemyślan piszą nam: Dnia 24 bm. wybrano przy uzupełniających wyborach do Rady powiatowej z grupy gmin wiejskich p. Aleksandra Wybranowskiego, prezesa Towarzystwa gospodarskiego i właściciela dóbr w Czupernosowie. Na 148 głosujących wszystkie głosy z wyjątkiem 18 otrzymał p. Wybranowski. Wszyscy głosowali z największą ochotą, a i tych 18 gospodarzy, jak mówili, tylko dlatego komu innemu głosy oddali, bo osobiście nie znali jeszcze p. Wybranowskiego. I dlaczegoż p. Wybranowski jest taką sympatyczną osobistością w powiecie? Oto z tej prostej przyczyny, że od kiedy tylko przybył do powiatu przemyślańskiego, szczerze i gorliwie sprawami włościańskiemi się zajmuje. Oddział przemyślański Towarzystwa gospodarskiego był w letargu, on napowrót obudził go do życia, a zostawszy jego prezesem, podniósł do tego stopnia, że dziś nietylko wszyscy obywatele w powiecie, ale i 80 włościan żywy w obradach Towarzystwa bierze udział. Za jego staraniem zakładano nowe kółka rolnicze, dawne zaniedbane lustrowano, pouczano włościan o zakładaniu sklepików i t. d. W Kurowicach np. istnieje z inicyatywy p. Wybranowskiego sklepik, który dziś ma przeszło 3000 zł. rocznie w obrocie. W r. 1896 ukonstytuował się powiatowy zarząd Kółek rolniczych, którego prezesem jednogłośnie obrano p. Wybranowskiego. Aby delegatów kółek do brania udziału w obradach powiatowego zarządu zachęcić, p. Wybranowski z własnej kieszeni płaci im dyety. Gmina Czupernosów, której p. Wybranowski jest właścicielem, a dla której prawdziwym jest ojcem, wybrała go swym radnym. Szlachetne przymioty p. Wybranowskiego, a zwłaszcza to jego bezinteresowne i szczere zaopiekowanie się sprawami włościańskiemi złożyły się na to, że obecnie lud oceniając jego zasługi, jednogłośnie prawie obrał go swym reprezentantem w Radzie powiatowej. Trzeba było być na tych wyborach, aby się przekonać, jak one się odbyły bez żadnej agitacyi, w harmonijnej zgodzie i jedności; nikt nie słyszał wyrazów „Polak“ „Rusin“, lecz wszyscy jak bracia stanęli do urny wyborczej. Takich to obywateli potrzeba nam dziś wielu, a wszelka zawiść kastowa zniknęłaby zupełnie.

Szczepan Franko, włościanin.

Sztukaterye w nowym teatrze. Otrzymujemy następujące pismo: „W dziennikach pojawiła się notatka, że roboty sztukatorskie do wnętrza nowego teatru oddał komitet teatralny p. Piotrowi Harasimowiczowi, ponieważ jego oferta ze wszystkich ofert, nadesłanych przez tutejszych i zagranicznych rzeźbiarzy okazała się najstosowniejszą. Otóż zaprzeczamy stanowczo temu, by wpłynęły jakiekolwiek oferty na sztukaterye do wnętrza teatru, a to z tej prostej przyczyny, że konkursu na te roboty sztukatorskie wcale nie ogłaszano, ani też w drodze poufnej żadnego z tutejszych lub zagranicznych rzeźbiarzy do wniesienia ofert na te roboty nie wzywano. Najwymowniejszym dowodem tego jest ten fakt, że p. radzca Gorgolewski, kierownik budowy nowego teatru, osobiście niektórym rzeźbiarzom tutejszym przyrzekł, że wezwani zostaną do wzięcia udziału w oferowaniu, tak jak to było przy rozdawaniu robót sztukatorskich zewnętrznych. Tymczasem w tym wypadku inaczej się stało, a mianowicie zaproszono wyłącznie i jedynie p. Harasimowicza i oddano mu wszystkie wewnętrzne roboty za taką cenę, jaką on — nie mając konkurencyi — postawił, a zignorowano wszystkich rzeźbiarzy tutejszych, a nawet i tych, których radzca Gorgolewski zawezwać przyrzekł. Że ceny te są nadmiernie wygórowane, świadczy najwymowniej choćby ten przykład, że za jajownik, za którego wykonanie liczy się zwykle 60 ct. od metra bieżącego, przyznano p. Harasimowiczowi kwotę 2 złr. W tym samym stosunku wszystkie przedmioty sztukatorskie p. Harasimowicz policzył, a komitet teatralny ceny te przyjął.

Z tej więc przyczyny wynosi ogólna suma przyznana p. Harasimowiczowi 57.000 złr., tymczasem wynosiłaby ona o 40 do 50% mniej, gdyby rozpisano na te roboty licytacyę.

Zwracamy przeto uwagę Rady miejskiej na to nadużycie komitetu teatralnego z tem wezwaniem, ażeby oferty powyższej nie zatwierdziła, lecz zarządziła rozpisanie konkursu, lub wezwanie wszystkich ukwalifikowanych rzeźbiarzy tutejszych do wniesienia ofert, a to w myśl obowiązujących przepisów, dotyczących rozdawnictwa robót publicznych“.

Następują podpisy grona rzeźbiarzy.

Z Bełza nam piszą: Miasteczko nasze obchodziło dnia 21 sierpnia b. r. uroczystość poświęcenia nowozbudowanego budynku szkolnego i kaplicy. Wspaniała, jednopiętrowa kamieniczka, ozdoba naszego miasta, mieści sześć dużych i jasnych sal szkolnych, kancelaryę, tudzież skromną i ubogą, ale prostotą i gustem nastrajającą uroczyście serca ludzkie kaplicę. Budynek ten, własność SS. Felicyanek, stanął kosztem 18.000 złr., na którą to sumę złożyły się trzy czynniki: mrówcza praca SS. Felicyanek, miłość różnych warstw społeczeństwa i ofiarność.

Myśl fundacyjną powzięła przed 3-ma laty ówczesna przełożona Matka Marya Bronisława Szwarce Jeska, którą radą i czynami wspierał ks. Michał Paprocki, ówczesny katecheta obrz. łac. Wówczas to SS. Felicyanki zbierały dobrowolne datki, za które skupowano drzewo potrzebne do budowy. Cały jednak ciężar budowy spadł na barki obecnej przełożonej Matki Teodory Chruślińskiej. Ona to w ciągu dwuletniego pobytu w Bełzie swoją dobrocią i mrówczą pracą zjednała sobie serca wszystkich warstw; posypały się dobrowolne datki, jak: dar Najjaśniejszego Pana 200 zł., Przewielebnego ks. arcybiskupa Morawskiego 100, gminy miasta Bełza gotówką i w materyale 723, Towarzystwa zaliczkowego w Bełzie 200, Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie 100, subwencya Wydziału krajowego 1000, funduszu zapomogowego szkolnego 300, ks. kan. Marcelego Chmury, miejscowego prob. 300, trzech mieszczanek bełzkich po 50, pewnej dobroczynnej osoby z okolicy 50, z przedstawień amatorskich urządzanych kilkakrotnie przez część inteligencyi bełzkiej za inicyatywą pp. Praweckich 200 zł. Wiele też osób przyczyniło się drobnymi datkami, których z braku miejsca poszczególnie nie wylicza się.

Nie obeszło się też i bez zaciągnięcia pożyczek, jak: z funduszu krajowego za poręką gminy miasta Bełza 8.000 złr. bezprocentowo, płatnych w 10-ciu rocznych ratach, ze Zgromadzenia SS. Felicyanek w Krakowie 2.000 złr. Prócz tego winny SS. Felicyanki około 1000 złr. za robociznę różnym rzemieślnikom. Zaciągnięty dług wynosi więc 10.000 złr.

Aktu poświęcenia dokonał miejscowy proboszcz ks. kanonik M. Chmura w obecności księży obu obrządków, a mianowicie: Sieleckiego z Żużela, Paprockiego z Sokala, Karpiaka, Hojdysza i Bielskiego z Bełza, w przytomności licznie zgromadzonej miejscowej inteligencyi i mieszczaństwa.

Składając niniejszem w imieniu SS. Felicyanek wszystkim szlachetnym Ofiarodawcom staropolskie „Bóg zapłać“, mamy nadzieję, iż na przyszłość o nich nie zapomną i dopomogą swojemi szczodremi ofiarami wybrnąć z zaciągniętych długów.

Jeden z obecnych.

Jakie są restauracye w naszych zakładach kąpielowych? Odpowiedź na to pytanie daje następujący list, który otrzymaliśmy z Kopyczyniec, a w którym nam piszą: „Ponieważ doszła do mojej wiadomości pogłoska, iż z Rymanowa wyjechałam dla złego pomieszkania, wynajętego w willi pp. Zontaków, przeto prostuję ją niniejszem, oświadczając, że opuściłam zakład kąpielowy li tylko dla restauracyi rymanowskiej, która po prostu nas, gości, truła. Mieszkanie wzięte przezemnie w willi „pod Matką Boską“ było pod każdym względem doskonałe, czyste, suche, jasne; właściciele domu pełni uprzejmości i gościnności. Wyjazd mój zatem nie miał żadnego związku z pomieszkaniem, o którego wynajęcie na rok przyszły prosiłam już pp. Zontaków.

Sabina Colonna Walewska.

Zmarli W Krakowie Dyonizy Wolański, pensyonowany inspektor Towarz. wzaj. ubezp. w Krakowie, lat 65.

Ofiary. Na odnowienie kościoła w Hodowicy nadesłano nam pod literami A. S. z Krosna 5 złr.

Stan powietrza. T. o. g. 7 rano +10, w poł. +13 R. Bar. 765. Podnosi się. Pogoda.

Otwartość przedewszystkiem. Iks zaręczył za Ygreka.

Ygrek, jak to dziś mówią, sprytna sztuka, ukrył swoje fundusze i gdy nadszedł termin, Iksa, pozbawionego chwilowo gotówki, zlicytowano na satysfakcyę długu Ygreka.

W kilka dni potem ktoś spotyka Ygreka

— Mój panie, pan znasz dobrze Iksa, czy to człowiek zasługujący na zaufanie?

— O ile zasługuje na zaufanie, tego nie wiem, ale muszę panu otwarcie powiedzieć, że przed kilkoma tygodniami zlicytowano go za długi.

Literatura i sztuka.

* **Z Teatru Rozmaitości.** W sali Towarzystwa „Gwiazda“ przy ul. Franciszkańskiej, łączącej ulicę Łyczakowską z placem Franciszkańskim, gra od pewnego czasu trupa, złożona przez p. Antoniego Czajkowskiego i pod jego dyrekcyą, trupa liczna, bo prawie z 30 osób licząca, bardzo dobrze reżyserowana przez p. Władysława Czajkowskiego i mająca kilka wybitnych talentów, i to nawet tak wybitnych, że odznaczyłyby się one na największych stołecznych scenach. Mówiąc to mamy przedewszystkiem na myśli dwóch artystów, p. Halskiego i p. Micińskiego. Są to ludzie młodzi, z temperamentem na wskróś artystycznym, z niesłychaną werwą, z bogactwem obserwacyi, rzeczywiście zdumiewającem u ludzi tak młodych, z wielkiem poczuciem scenicznem, z ogromną artystyczną miarą i z poświęceniem dla sztuki tak zupełnem, że w ich grze nie widać najmniejszego wyrachowania, aby w czemkolwiek podnieść swą własną osobę, a idzie im tylko i jedynie o stworzenie postaci jak najbardziej artystycznie skończonej. Stąd w charakteryzacyi dochodzą nieraz do granic, w których nie widać wcale miłości własnej, mianowicie na przykład wtedy, gdy charakteryzują się tak, że wyglądają niemal potwornie, co jednak potrzebnem jest dla prawdziwego oddania granych przez nich postaci. Już jeżeli nie dla czego innego, to wprost dla poznania gry tych dwóch artystów, tak wyjątkowo znakomitych, warto uczęszczać przez pewien szereg przedstawień do teatru Rozmaitości.

Ale oprócz nich trupa p. Czajkowskiego posiada inne jeszcze bardzo wybitne talenta i tak w pierwszym rzędzie podnieść wypada panią Czajkowską; jest to młoda, pełna wdzięku i bardzo eleganckich i artystycznych manier artystka, obdarzona dość milutkim głosem: następnie p. Kobrynia, artystę pełnego pomysłowości i charakterystycznej siły, panią Zenowicz, p. Müllera, p. Góreckiego i p. Janusza.

Trupa reżyserowana jest bardzo dobrze, wszystkie sceny zbiorowe wypadają z wielką werwą i wogóle ze sporą rutyną sceniczną.

Salka „Gwiazdy“ jest bardzo przyzwoita, dość obszerna, scena urządzona jest wcale dobrze i w rozmiarach odpowiednich, orkiestra grywa nieźle i akompaniuje dobrze do śpiewów. Ceny miejsc są umiarkowane: pierwszorzędne siedzenia na kanapkach kosztują 1 złr. 20 ct., dalsze fotele po 1 złr., krzesła drugorzędne po 60 ct., a wstęp na salę 30 ct.

Dziś trupa ta nie daje przedstawienia; jutro, we wtorek odegranym będzie „Czarodziej z nad Nilu“, we środę „Królowa przedmieścia“, wodewil w 5 aktach ze śpiewami i tańcami pióra p. Krumłowskiego z muzyką p. Powiadowskiego, rzecz napisana na tle stosunków krakowskich, wprowadzająca na scenę świat malarzy, literatów, przekupek i robotników krakowskich, a we czwartek przedstawionym będzie „Sztygar“.

Miłośnicy sceny, nie mając teraz innego teatru we Lwowie, z przyjemnością spędzą kilka wieczorów w Teatrze Rozmaitości, a jeżeli tu i ówdzie dostrzegą jakąś usterkę małą, to wynagrodzi im to sowicie studyowanie tak niepospolitych talentów, jak pp. Micińskiego i Halskiego, jakoteż sympatyczna gra i milutki śpiew p. Czajkowskiej.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 26 sierpnia.

(Z.). Ostatni dzień tygodnia należał w całości do walorów żelaznych. Praskie akcye, alpiny, czeskie górnicze, Rima Murany uzyskały dziś ponownie bardzo znaczną zwyżkę. Akcye praskie podskoczyły dziś w cenie o 11 złr. i przekroczyły kurs 1.400, zamknięto je bowiem kursem 1.402, alpiny podniosły się o 5½ złr., czeskie górnicze o 7 złr., Rima Murany o 2 złr. To, co się dzieje obecnie na targu walorów żelaznych, nie jest już zaiste spekulacyą, ale obłędem. Wystarczy na żart rozpuścić jakąbądź choćby najniedorzeczniejszą pogłoskę o naszych przedsiębiorstwach żelaznych, aby w ciągu kwadransa wywołać zwyżkę ich kursu o kilka procent. Dziś np. rozpowiadano, że Towarzystwo alpejskie otrzymało jakieś duże obstalunki aż z Ameryki. To zahypnotyzowanie spekulacyi w jednym tylko kierunku oddziaływa zabójczo na wszystkie inne kategorye papierów wartościowych. Najpewniejsze papiery, które nie tak dawno jeszcze niejako nadawały ton giełdzie, dziś jakby nie istniały dla niej. Dość powiedzieć, że kulisa rent rozwiązała się, bo niema co robić. Wystarczy rzucić na sprzedaż partyę renty za 10.000 złr., aby wywołać spadek, jaki z reguły miewa miejsce tylko z powodu groźnych wypadków politycznych. W tym tygodniu spotkał ten los obie renty złote, które spadły poniżej 118, a zatem poniżej pari, gdyż ażio wynosi jak wiadomo przeszło 19%. To zupełne zdezorganizowanie targu rent i innych walorów lokacyjnych wywołuje bardzo poważne obawy w sferach ich posiadaczy i coraz liczniej odzywają się głosy, nawołujące rząd, aby przecież zaopiekował się kursem papierów państwowych, bo ostatecznie publiczność całkiem zniechęci się do ich nabywania, skoro lada kaprys lub manewr spekulantów giełdowych potrafi obniżyć ich kurs o 1% i wyżej. Także akcye bankowe, w których dawniej koncentrowało się całe życie giełdy, dziś są jakby jakimiś egzotycznymi papierami. Dawnemi laty był zawsze o tej porze okres ożywionego ruchu w akcyach kolejowych, obecnie kurs ich jest prawie nieruchomy. Co prawda, przypisać to należy w znacznej mierze temu, że kampania zbożowa jakoś się nie ożywia. Widocznie nigdzie niema zbyt wielkich luk w tegorocznych zbiorach, konsumcya przeto spokojną jest o swoje potrzeby, a spekulanci zbożowi na razie nie mają żadnego drogowskazu. Od kilkunastu dni ceny zboża stoją prawie na tym samym poziomie.— Pierwsza akcyjna fabryka automobilów już się zawiązała wczoraj. Należą do niej Länderbank i kilku wielkich przemysłowców. Technicznym kierownikiem nowej fabryki będzie inżynier Paweł Daimler. Fabryka ta wyrabiać będzie samochody zbytkowne, samochody do przewożenia ciężarów i omnibusy. — Były wiceprezydent Rady państwa, dr. Kramarz, nabył fabrykę tkacką firmy J. Jina w Liebstadtl i prowadzić ją będzie na własny rachunek.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 383·75, węgierskie 391.—, Anglobanki 151·50, Uniony 309·50, Bankvereiny 271·—, Länderbanki 240·50, Ludwiki 211·50. Czerniowieckie 284·50, Elbethale 255·50. Renta papierowa 100·25, srebrna 100·15, austryacka złota 117·70, austr. renta wal. kor. 99·95, węgierska złota 117·75, węgierska renta wal. kor. 96·25, dukat 5·70, 20 frankówka 9·55½, marki 11·76 ruble 1·27¼.

§ **Z kolei.** Taryfa dla bezpośredniego ruchu osobowego między stacyami c. k. uprzyw. kolei północnej Cesarza Ferdynanda z jednej, a stacyami c. k. austr. kolei państw., oraz zostających pod zarządem państwa kolei lokalnych Prossnitz - Triebitz, Tarnopol—Kopyczyńce i Hliboka—Seret z drugiej strony, tudzież między stacyami galicyjskiemi c. k. uprzyw. kolei północnej Cesarza Ferdynanda przez linię c. k. kolei państwowych: Podgórze—Bonarka—Kalwarya. Z dniem 1 września 1899 wchodzi w życie dodatek II do powyższej taryfy. — Cena 30 halerów.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Otrzymane wczoraj)

Celowiec 27 sierpnia. Z niewiadomego na razie powodu poczęły się tu na kilku ulicach gromadzić tłumy robotników, nie dopuszczając się jednakże żadnych ekscesów. Policyi i wojsku udało się z łatwością tłumy rozproszyć, przyczem aresztowano 14 osób przeważnie robotników za opór stawiany władzy.

Petersburg 27 sierpnia. Zapewniają tu, że para carska w tym tygodniu uda się morzem do Kopenhagi.

Rzym 27 sierpnia W obec tego, że misyi Msgr. Tarnassiego w Petersburgu przypisują różne cele, z kół watykańskich zapewniają, iż jedyną powierzoną mu sprawą jest kwestya wakujących biskupstw katolickich pod panowaniem rosyjskiem.

Ischl 27 sierpnia Onegaj odbyły się ostatnie tegoroczne łowy dworskie. Cesarz zastrzelił 4 giemzy.

Wczoraj rano przybył tu minister spraw zagranicznych Gołuchowski z radcą legacyjnym Mereyem. O godzinie 1-szej był na audyencyi u Cesarza, a popołudniu wziął udział w cesarskim obiedzie familijnym Dziś popołudniu wrócił hr. Gołuchowski do Wiednia.

Budapeszt 27 sierpnia. *Budapester Correspondenz* donosi, że Cesarz tego roku oprócz manewrów w Czechach i Karyntyi uda się także na manewry 2 korpusów i kawalerzyckie do południowych Węgier. Na manewry kawalerzyckie przybędą także arcyksiążęta Franciszek Ferdynand i Józef, nadto attachés włoski, niemiecki i angielski. Z Karyntyi Cesarz uda się do Meranu.

Petersburg 27 sierpnia. Przybyła tu deputacya pułku ułanów imienia cesarza Aleksandra II. Nr 11, ażeby złożyć na trumnie zmarłego cesarza wieniec — a to jako w rocznicę dnia 21 sierpnia 1849, w którym on jako ówczesny wielki książę Aleksander Aleksandrowicz został mianowany właścicielem pułku. Do deputacyi należy między innymi rotmistrz Kazimierz Łączyński.

(Otrzymane dziś)

Wiedeń 28 sierpnia. Minister handlu Dipauli po kilkudniowym pobycie w Pradze, gdzie zwiedził różne zakłady przemysłowe, fabryczne i rękodzielnicze, powrócił tu wczoraj.

Nisa 28 sierpnia. W wielkiej sali przygotowanej na obchód wiecu katolików niemieckich odbyło się wczoraj uroczyste zebranie katolickich stowarzyszeń robotniczych, w którem wzięło udział około 150 różnych związków i stowarzyszeń w liczbie przeszło 4000 osób. Przewodniczący wzniósł okrzyk na cześć cesarza i Papieża.

Paryż 28 sierpnia. Noc wczorajsza na ulicy Chabrol przeminęła spokojnie. Wczoraj rano pojawił się tutaj jakiś człowiek, który zaczepiał i odgrażał się stojącym na straży żołnierzom. Aresztowano go i zaprowadzono do komisaryatu policyi; znaleziono przy nim nabity rewolwer. Dzisiejszej nocy antysemici zamierzali zaprowiantować Guerina przez wybicie otworu w piwnicy sąsiedniego domu.

Paryż 28 sierpnia. Przeciw dziennikom *Intrasigeant, Libre parole, Soir, Patrie, Journal du Peuple*, wdrożono dochodzenia sądowe o podburzanie do demonstracyi ulicznych.

Madryt 28 sierpnia. Pewien żołnierz hiszpańskiego kordonu sanitarnego, zginął od strzału, danego ze strony portugalskiej.

Oporto 28 sierpnia. W tutejszem więzieniu stwierdzono jeden wypadek dżumy. Chorego przeniesiono do osobnego szpitala, a cały dom więzienny dezinfekcyonowano.

Konstantynopol 28 sierpnia. Z powodu pojawienia się dżumy (zarazy syberyjskiej) w Skobelówce w gubernii astrachańskiej, gdzie na 40 wypadków zasłabnięcia 20 osób zmarło, zarządzono bardzo ścisłą kwarantanę dla proweniencyi z wybrzeży Azowskiego i Czarnego morza.

Frankfurt (nad Menem) 28 sierpnia. Wczoraj jako w wigilię 150-tej rocznicy urodzin Goethego złożyło przeszło 300 różnych stowarzyszeń wieniec u stóp pomnika Goethego. Popołudniu odbył się koncert, na który przybyli cesarzowa wdowa Frydrykowa, król grecki i małżonka greckiego następcy tronu.

Rennes 28 sierpnia. Posiedzenie dzisiejsze rozpoczęło się o pół do siódmej rano. Rysownik J a v a l składa w dalszym ciągu przerwane w sobotę zeznania. Czyni on zarzut Bertillonowi, że dla zbadania pisma Esterhazy'ego nie robił tych eksperymentów, co z pismem Dreyfusa, i zwalcza system rozpoznawania charakteru pism, który stosuje Bertillon. System ten jest, zdaniem świadka, z gruntu fałszywym.

Posiedzenie trwa dalej.

Rennes 28 sierpnia. Po niekorzystnem dla Bertillona zeznaniu znawcy Javala, przesłuchano znawcę B e r n a r d a, który niemniej ujemnie wyraził się o systemie Bertillona. Zaprodukował on także arkusz pisma, na którem odrazu odkryto ślady sztucznego jego sporządzenia.

B e r n a r d: Otóż to jest właśnie jeden z elaboratów Bertillona (śmiech w sali).

Z kolei przesłuchano T e i s s o n i e r a. — Posiedzenie trwa dalej.

Paryż 28 sierpnia. Sytuacya w ulicy Chabrol niezmieniona. W mieście opowiadają sobie, że położenie zamkniętych w domu ligi antysemickiej jest bardzo poważne. Policya wykryła, że zamkniętym za pomocą podkopu dostarczano żywności. Drogę tę natychmiast zamknięto. Skonstatowano, że oblężeni mają całej żywności wszystkiego jeszcze tylko dwa worki kartofli.

Lwów 28 sierpnia. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 210·50 do 212·50 Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 283.50 do 286·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 375.— do 384·—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 253·— do 258·—. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 198·00 do 200·00.

Listy zastawne za 100 złr. Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 110,00 do 110·70 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.— do 100·70, 4 proc. los w 60 lat 96·50 do 97·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 61 lat 100·20 do 100·90. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·30 do 98·00. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97.00 do 97·70, 4 proc. los w 41 i pół latach 97·00 do 97·70, 4 proc. los w 56 lat 94·00 do 94·70.

Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97.80 do 98·50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —.—. Kom. Banku kraj. 5proc. (II emisyi) 102·00 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·00 do 97·70. Pożyczki kraj. 6 proc. 103·00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 96.00 do 96·70, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 93·70 do 94·40.

Monety. Dukat cesarski 5·66 do 5·76. Napoleondor 9.52 do 9·62. Rubel rosyjski papierowy 127·00 do 128.00. 100 marek niemieckich 58·70 do 59·15.

Wiedeń 28 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier spokojnie 13·—05. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus 20—20·40.

Berlin 28 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Banknoty austryackie 169·85. Spirytus 43·70.

Paryż 28 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 00·00. Mąki 42·40.

Wiedeń 28 sierpnia. (Giełda zbożowa). Pszenica na jesień 8·44—8·45, na wiosnę 8·76—8·77; żyto na jesień 6·92—6·94, na wiosnę 7·20—7·21; kukurudza na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·16—5·17; na maj-czerwiec 1900 r. 5·27—5·28; owies na jesień 5·56—5·57, na wiosnę 5·82—5·84; rzepak na wrzesień-październik 12·25—12·35; olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 31—33. Tendencya: silna. Pogoda: pada deszcz.

Budapeszt 28 sierpnia. (Giełda zbożowa). Pszenica na październik 8·33—8·34; pszenica na kwiecień 1890 r. 8.65—8·66; żyto na październik 6·60—6·63; owies na październik 5·26—5.28; kukurudza na sierpień 4·82—4·83, na maj r. 1900 5·02—5·03; rzepak na sierpień 11·75—11·85. Oferty na pszenicę dostateczne. Chęć kupna ograniczona. Tendencya spokojna. Pogoda: piękna.

61)

OPĘTANI

POWIEŚĆ MATYLDY SERAO.

(Ciąg dalszy).

Trifari podszedł do drzwi i z niedowierzaniem zapytał, kto puka.

Otrzymawszy odpowiedź: przyjaciele — i poznawszy głos, wpuścił przybyłych.

Do pokoju weszli: Gaetano, krajczy rękawiczek i Michele, czyściciel obuwia.

Zdjęli kapelusze i powitawszy zebranych, pokornie zatrzymali się u progu, nie odważając się zasiąść obok „panów“.

Na ulicy w dalszym ciągu padał deszcz i dął sirocco.

Przez szpary okna woda spływała do pokoju; ze złożonych, opartych o ściany i stojących w kątach parasoli, płynęły strugi i w niezamiatanem oddawna mieszkaniu tworzyły warstwę błota.

Zebrani wokoło stołu gracze milczeli; stojący u drzwi krajczy rękawiczek i czyściciel obuwia również nie przerywali ciszy. Wszyscy oczekiwali. Tylko Ninetto Costa, nadrabiając miną, wyjął z kieszeni ładny notatnik, ostatni zabytek dawnej elegancyi i pisał w nim cyfry ołówkiem, od czasu do czasu zwilżając go w ustach. Ale były one bez znaczenia, a ręka jego drżała nieco.

Tak upłynęło kilkanaście minut, długich, powolnych, męczących.

— Co za okropny czas! — rzekł Ninetto Costa, przeciągając ręką po czole.

— Chyba niebo zapada się — wtrącił don Crescenzo, poziewając nerwowo.

— Doktorze, która godzina? — drżącym głosem zapytał adwokat Marzano.

— Za pięć minut będzie dziesiąta — odrzekł Trifari spojrzawszy na lichy zegarek w oprawie niklowej, którego żaden lichwiarz nie chciał wziąć w zastaw.

— Na którą naznaczona schadzka? — zapytał Colaneri z udaną obojętnością.

— Na dziesiątą, ale kto wie? — odrzekł doktor, zniżając głos i starając się w słowach swoich wyrazić największą wątpliwość.

— Kto wie? — powtórzył Ninetto Costa tonem głębokim.

I westchnął, jak gdyby nie mógł się oprzeć przytłaczającemu ciężarowi.

— Czy jesteś pan chory? — zapytał profesor Colaneri.

— Pragnąłbym nie żyć — smutnie szepnął agent giełdowy.

Zebrani siedzieli z pochylonemi głowami, wzdychając lub zrzadka rzucając oderwane słowa.

Niekiedy wicher ustawał na chwilę i wtedy słychać było uderzające o szyby krople deszczu.

Po za ścianą w mieszkaniu sąsiedniem, zagar wolno, poważnie, wybił godzinę dziesiątą.

— Duch! — rzekł don Crescenzo, usiłując żartować.

— Nie mamy ochoty do żarów — surowo rzekł Trifari — zebraliśmy się przecież w sprawie bardzo ważnej...

— Żadnemu z nas nie do śmiechu — dodał agent — wiemy co czynimy.

— Wszak niema między nami Judasza? — zapytał lekarz, przyglądając się każdemu z kolei.

Wszyscy odpowiedzieli zaprzeczeniem, lecz dość słabem.

— Wierzę, że niema Judasza! — zawołał lekarz gwałtownie — lecz gdyby się znalazł, przysięgam, że zginie śmiercią straszną.

Dzwonek zadźwięczał znowu.

Wszyscy zbledli, spojrzeli po sobie, lecz nikt się nie ruszył, jak gdyby lękali się spotkania z oczekującem za drzwiami niebezpieczeństwem.

— Czy to on? — odważył się zapytać Colaneri, nie podnosząc oczu.

— Może — odrzekł Ninetto Costa, nerwowo obracając w palcach notatnik.

Doktor Trifari powstał, otworzył drzwi i głośno powitał przybyłych:

— Dobry wieczór, margrabio! dobry wieczór don Pasqualino!

I usunął się, by ich przepuścić.

Zebrani odetchnęli swobodniej. Niema niebezpieczeństwa — assistito już się im nie wymknie.

Ten, co podczas dnia i w nocy obcował z duchami, ten, co posiada łaskę porozumiewania się z duszami osób zmarłych, co powinien wiedzieć wszystko — nie domyślał się niczego i wpadł w zasadzkę.

Wszedłszy, wzrokiem z pod czoła — jak zwykle — zatoczył koło, lecz nic nie zauważył na twarzach kabalistów: były blade, ale były takiemi w każdy piątek.

Tylko przybyły z don Pasqualinem margrabia Cavalcanti drgnął, spostrzegłszy kabalistów zebranych w komplecie. Ale on był tak nerwowym i już od tak dawna!

Dumna twarz jego, nosząca już na sobie ślady namiętności, pomarszczona, nieogolona, odstręczała od siebie.

I ubranie jego było teraz zaniedbane, trzewiki zabłocone, mankiety wystrzępione.

Był rozdrażnionym, gdyż od nikogo już nie mógł dostać pieniędzy.

Don Pasqualino nie mógł już od niego wyłudzić ani centyma i widywał się z nim tylko na zebraniach piątkowych przy ulicy Nardones; ale tego tygodnia stosunki ich wznowiły się: margrabia odszukał go, dał mu pięćdziesiąt lirów i naznaczył schadzkę na dziesiątą wieczorem. Nalegał bardzo, gdyż, rozstając się, powtórzył: „koniecznie o dziesiątej“; lecz assistito był spokojnym — wiedział, że kabaliści pragną uzyskać nowe numery.

W drodze zachowanie się margrabiego było nieco podejrzane, wszelako przywykły do jego dziwactw Pasqualino nie zwracał na to uwagi, — więc przybył i spokojnie zajął miejsce przy stole.

Wokoło niego panowała cisza, tylko zrzadka dawało się słyszeć westchnienie.

Jednak, przyglądając się teraz zbliska tym twarzom bladym, assistito powziął niejakie podejrzenie.

Ażeby przerwać krępującą wszystkich ciszę, wygłosił frazes mistyczny:

— Deszcz pada, lecz o północy wzejdzie słońce...

— Brednie! — zawołał Trifari, wybuchając śmiechem szyderczym.

— Głupstwo! — zawtórowali mu kabaliści.

Nikt już nie wierzył w mistyczne słowa don Pasqualina i niewiara ta była tak widoczną, że assistito drgnął, jak gdyby dostrzegł zamiar ataku. Ale po chwili, chcąc jeszcze raz wyzyskać rozgorączkowaną wyobraźnię kabalistów i poruszyć strunę zawsze gotową do wydania dźwięku, dodał:

— Deszcz pada, lecz o północy wzejdzie słońce; wszelako ten, co ma przy sobie szkaplerz Madonny, nie zmoknie.

— Pan chyba kpisz sobie z nas! — zawołał krajczy rękawiczek.

Assistito spojrzał na niego wzrokiem wściekłym.

— Nie spoglądaj pan na mnie wzrokiem takim, jak gdybyś chciał mnie zjeść — odrzekł Gaetano. — Z przeproszeniem tych panów, powtarzam, że pan kpisz sobie z nas, a my nie mamy ochoty pozwolić, by z nas żartowano!

— Margrabio, każzamilknąć temu głupcowi — rzekł assistito z pogardliwym ruchem ręki.

— Nie taki on głupiec, jak się panu zdaje — odrzekł Cavalcanti.

— Co panowie przez to chcecie powiedzieć? — zapytał Feo powstając i cofając się.

Ale nie spuszczający go z oczu Trifari, nic nie mówiąc, położył rękę na jego ramieniu i zmusił usiąść napowrót.

Więzień pochylił głowę na piersi i z ukosa spoglądał na drzwi.

— Siedź pan — rzekł Cavalcanti — mamy wiele do pomówienia.

Odcień przestrachu przebiegł po twarzy tego, co wywoływał duchy; powiódł jeszcze raz wzrokiem po zebranych i spostrzegłszy oblicza surowe, zdecydowane, zrozumiał grożące mu niebezpieczeństwo.

— Gaetano nie powiedział głupstwa, mówiąc, że drwisz pan sobie z nas. Od trzech lat odgrywasz przed nami komedyę; od trzech lat wygłaszasz nonsensy, niby-to dyktowane przez ducha; od trzech lat wyłudzasz od nas pieniądze — i nietylko, że żaden z nas nigdy nic nie wygrał, lecz wszyscy, jak tu jesteśmy, straciliśmy wszystko co posiadaliśmy, a niektórzy popadli w nieszczęście, z którego niema wyjścia. Zrujnowałeś pan nas!

— Zrujnowałeś! zrujnowałeś! — zawtórowali kabaliści.

Przyjaciel duchów niejednokrotnie, zwłaszcza w czasach ostatnich, słyszał te narzekania, ale pod wpływem słów jego ufność prędko wracała do serc zawiedzionych. Lecz teraz widział, że mu już wcale nie wierzą.

Nie zdradzał się jednak z przestrachem i usiłował przekonać.

— To nie moja wina, brak wam wiary!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Drukarnia narodowa Stanisław Maniecki i spółka — Lwów Kopernika.